

Dzied. dol. 43. 113
B

PAMIĘTNIKI MOJE W HISZPANII

PRZEZ

Kajetana Wojciechowskiego.



Komputer

Leon Potocki.



Nakład Redakcji Biblioteki Warszawskiej.

D. 3530



WARSZAWA.

w Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Bednarskiej Nr. 2,600.

1845.

39760

90, -

~~W B 43413 RU~~

Kajetana Wojciechowskiego

Komunikat



160549

BIBLIOTEKA GŁÓWNA FILII UW
w Białymstoku



FUW0007005

D-53/85

PAMIĘTNIKI MOJE W HISPANII

przez
KAJETANA WOJCIECHOWSKIEGO (*)

Opisać widziane własnymi oczyma zdarzenia walecznego pólku, którego czynów odgłosem brzmiały nadbrzeża Gwadalkwiwuru, Ebru, i Tagu, przed którym zawsze przełknięny Hiszpan uciekał, a zdumiony nieraz Anglik zdrzał, za powinność wziąłem sobie. Jeżeli się słusznie chępię, zem w tym pólku młode moje lata przepędził, biorę pióro do ręki, nie miłością własną powodowany ale chęcią oddania należnej czci, pamięci dowódczcom

(*) Mając sobie poruczone Pamiętniki w Hiszpanii Kajetana Wojciechowskiego, którego służąc w pólku 1-ym ufanów legii Nadwiślańskiej, przezwanym później 7-ym szwoleżerów Francuzkich, opisał, że tak powiem, historią tegoż pólku; wydać je na widok publiczny wziąłem sobie za obowiązek. Półk o którym mowa, nazwany przez Hiszpanów: *Los Infernos*, słusznie wychwalony w rozkazach dziennych Angielskich, którego za batalią pod Albuhera miał być policzonym w poczet gwardyi Napoleona; wielkie sobie imię zrobił w Hiszpanii. Leon Potocki.

i współ-kolegom moim, którzy lub na polach bitew zginęli, lub oddawna zmarli, lub w ustroniu resztę dni swoich pędzą. Grobowe milczenie o tym pólku Francuzkich pisarzy, może potomność usprawiedliwi tém zdaniem: „że każdy o sobie mówić powinien” lecz przypuściwszy, że żaden w pólku pisać nie umiał, ale skoro umiał umierać obok Francuzów, woła sprawiedliwość, ażeby przejrzana kontrola tego pólku, jako na żołdzie Francuzkim będącego, wykazała, wiele tysięcy moich ziomeków poległo pod Napoleonem, wiele kolegów moich zalega dom inwalidów, wiele weteranów ich chleb pożywa, wiele rycerzy naszych było i jest ozdobionych orderami Francuzkiemi, wiele Francya ponosi ciężarów opłacając nagrody zasłużone, wspiera wdów i sierot, wiele wypłaca zalegającego żołdu, a wiele zalega; a taki rachunek, byłby pomnikiem wdzięczności, jakiej nam Francya odmówiła. Każden oficer, a nawet każden żołnierz z tego pólku, gdyby opowiadał swoje zdarzenia, byłyby one zawsze podziwiałe i tak różne, iż możnaby wątpić o rzetelności wypadków. Skład korpusu oficerów tego pólku, po powrocie jego z Włoch w roku 1807, znaleźliśmy pod dowództwem pólkownika Konopki prawdziwie rycerskim. W gronie takowych, znajdował się podpółkownik Klicki, pełen światła oficer, powszechnie poważany i kochany od wszystkich: szefowie szwadronów Kostanecki i Buttie; kapitanowie Linkiewicz, Stokowski, Kazimierz Tański, Rybałtowski, Huppert, Skarzyński, Szulc, Poryeki, Fijałkowski i Ojrzanowski. Atoli należy nam przedewszystkiém powiedzieć, że ten półk, jakkolwiek razem wkroczył do Hiszpanii po powtórnej bitwie pod Tudello w roku 1808, rozdzielony i poprowadzony częściowo

przez podpółkownika Klickiego, powtórnie pod Saragossę, przez pólkownika Konopkę do armii południowej, najdłuższy czas należał do korpusu czwartego, którym dowodził generał Sebastyani. Porywany przez generała Lesale, przez generała Merle, to znów przeszedł do marszałka Sulta; przysłany potem marszałkowi Mortie, nakoniec przyłączony do głównej armii będącej pod dowództwem króla Hiszpańskiego Józefa Bonapartego, przerzucony na prawy brzeg Tagu przez miasto Toledo, w bitwie pod Almonacid okrył się sławą, i tak z rąk do rąk przechodząc, był raczej kolumną partyzancką, aniżeli półkiem regularnego wojska.

Oddziały tego pólku, przybywające z Francyi, chciwie chwywane były przez generałów Francuzkich do rozlicznych korpusów; z pólkownikiem Kazimierzem Tańskim, około Biskaj; ze Stokowskim około Segowii; z Fijałkowskim w Arragonii; z Trzebuchowskim w Hamburgu; z Rybałtowskim w kampanii Rossyjskiej w 1812 roku; z Góreckim w Magdeburgu; z Rogojskim we Francyi; z Kostaneckim przy wicekrólu Włoskim, przy którym także znajdował się w rejteradzie z Moskwy pólkownik Klicki. A tak gdy jedni walczyli w Hiszpanii, drudzy pod Mozajskiem, Kaługą, w przeprawie pod Berezyną i w Niemczech, okrywali się sławą. Jednym słowem, półk ten uważały można za błędnego rycerza!

Atoli główny półk istniał tam, kędy były chorągwie, które z furgonu pólkownika Konopki, gdzie były schowane, przez nieprzyjaciół wzięte, utraciwszy; straciliśmy zarazem nazwanie Igo pólku ułanów. A tak błędem jednego ukarani wszyscy, zasług i prac naszych, odrazu utraciliśmy nagrodę.

Godła wojskowe jakimi są sztandary, stają się trofeami zwycięstwa, skoro z orężem w ręku, od mężnie onych broniących, zdobyte zostaną, wtedy ci, którzy je utracą, ohydą okryci, a sława do zwycięzców przechodzi.

Stanowiska w marszu po bitwie pod Ponté-Almaras i po powrocie z Portugalskich granic, naznaczone były we wsi Orias; pólkownik Konopka nie słuchając rozkazów, przeszedł górę do Jovenes, gdzie półk w nocy otoczony siłą przemagającą, bo przez siedm półków kawaleryi z dwiema bateriami lekkiej artyleryi, przerznął sobie przejście drogą wykutą w skale, tak wąską, że zaledwo cztery rotę walczyć mogły z dwoma półkami karabinierów, zbitych w masę i po trupach przejście sobie otworzyć. Odwrót nasz zasłaniał kapitan Stokowski, który z piątą kompanią naszego półku, utrzymał na wodzy natarczywość pięciu półków kawaleryi z artyleryą za nami ciągnących. Takowe przejście można było śmiało nazwać zwycięstwem, gdyby strata niepowetowana, nie była zakwrawiła serc naszych, nieodżałowaną boleścią.

Furgon pólkownika już był przeszedł górę, a jako wóz uważany, żadnej własności półku niezawierający w sobie, nie zwrócił uwagi; porzucony później na drodze, dostał się w ręce nieprzyjaciela; wszakże tam się znajdowały owe tajemnicze chorągwie, o czém żaden z nas nie wiedział. Stosownie bowiem do wyższych rozkazów, od czasu jak wojna Hiszpańska zamienioną została na wojnę gierylasów, czyli partyzancką, sztandary półkowe pozostać miały w zakładzie pod Madrytem, i tam w istocie zostały proporce w pokrowcach, a chorągwie w skrytości odpięte, nie wiem dlaczego, z nami były wożone

w pólkownika furgonie, o czém powtarzam, nikt z nas nie wiedział.

Tym sposobem utraciliśmy mimowolnie godła półku naszego, utraciliśmy nasze nazwanie, a gdy mimo skarg naszych, które aż do samego cesarza dojść musiały, nie uzyskaliśmy zadosyć uczynienia, do sądu potomności odwołać się musimy, bo kto jest bez wyrzutu, niesprawiedliwego sądu się nie lęka.

Niejeden może się dziwi, dlaczego żadne pióro nie opisało dotąd szczegółowych dziejów wojska Polskiego we Włoszech i Hiszpanii; czemu żadna lutnia nie zaśpiewała nad Tagiem na grobie poległych kolegów moich, czemu zdobycie wąwozów Siera-Morena w ręku do bitwy konie prowadzących, a pod ogniem kartaczowym dosiadłych i zdobytych, sławie zdobywców Samosieras nie przyświeca?

Wszystko to dlatego zapewne pokryte milczeniem, że z legionów i Hiszpanii, drobna tylko szlachta i kmiotki wrócili do domów, a zanosząc do lepianek pod strzechę sławę czynów wojennych, nie przyczynili rodzinom chleba: rąk im tylko użyzyli do uprawy ojczystej ziemi.

Butwieją zapewne w archiwach ministryum wojny w Paryżu dowody dzieł rycerskich półku, w którym miałem zaszczyt służyć; czyli wyjdą kiedy na widok publiczny, nad grobem stojącym weteranom, znikome marności tego świata niechaj zostaną z tej strony mogiły, a na drugą stronę, niechaj towarzyszy spokojne sumienie i przekonanie, że chwila pokoju, po znojach bez owocu, i opieka rządu udzielona staremu żołnierzowi obok żony i wśród dziatki, jest najmiłszą nagrodą.

Jeżeli która rodzina będzie chciała wiedzieć co o swoim synie, w tym pamiętniku nie jedno znajdzie wspomnienie, jednak przebaczyć mnie musi, iż pamięcią tylko sięgając po upływie lat tylu, wiele rzeczy pominąć, wiele zapomnieć musiałem. Dla własnych dzieci pisałem, bez widoku na przyszłość, bez myśli, iż wspomnienia moje kiedy drukiem ogłoszone zostaną.

Gdyby inaczej być miało, i tak dopnę pożądanego celu; powtarzam: dla dzieciak moich pisałem, a wszyscy wskażemy dziećmi jednej rodziny.

Przy końcu roku 1806, na odezwę generała Dąbrowskiego, pod różnemi pozorami młodzież Galicyjska opuszczała rodziny i do Warszawy biegła; w tej myśli będąc brat mój starszy Wincenty, nadmieniał w domu, że się może na czas długi oddali, towarzysząc przyjacielowi swojemu Czosnowskiemu i innej młodzieży na polowanie, zwykle co rok odbywane, na granicy Węgierskiej, w Karpatach. Miałem podczas jego niebytności pozostać w domu, i całym gospodarstwem zarządzać. Domyśliwszy się jednak celu ich wyprawy, odkryłem im moje życzenia, towarzyszenia im.

Gdy więc przypuszczony zostałem do umowy, postanowiliśmy wybrać się razem w podróż, a ja przyjąłem na siebie rolę służącego jadących dwóch panów na polowanie, gdzie charty i konie powodowe towarzyszyć nam miały. Nadszedł dzień podróży; rzuciwszy się do nóg matki, prosząc o błogosławieństwo, te usłyszałem ze łkaniem wymówione słowa: „Już ja cię synu z tego polowania więcj nie obaczę.” Jakoż to było ostatnie błogo-

śławieństwo matczyne, które połączone z błogosławieństwem udzieloném mi dawniej przez ojca w wigilią jego śmierci, chociaż jedyném były mojem uposażeniem, przekonany jestem, że ściągnęły opiekę nieba, które zawsze odtąd czuwało nade mną, oddalało niebezpieczeństwa, i dozwoliło spokojnie starość na łonie rodziny przepędzać. Panie, bądź pochwalone imię twoje. Pokój popiołom, dawcom życia mojego, a wam dziatki niechaj ztąd nauka będzie, że błogosławieństwo rodziców, jedna nam łaskę nieba.

Podróż nasza skierowana została ku Warszawie; odprowadzanych ode wsi do wsi, kiedyśmy już z Żelechowa wracali, gdzieśmy dalszego przewodnika znaleźć nie mogli, w lesie zdybał nas chłopiec idący do kościoła i zatrzymał, mówiąc: „*Panicze, nie tu wam droga, wracajcie się, ja was poprowadzę.*” Ślepo mu uwierzywszy, wróciliśmy do Żelechowa; tam przesiadawszy ukryci w karczmie podczas nabożeństwa, była to bowiem niedziela, odprowadzeni potem do dworu, gdzie w stodole zamknięci, za nadejściem nocy pochwyceni na sanie, przejechawszy pomiędzy patrolami Austryackich huzarów, przebyliśmy granicę, a dostawszy się do karczmy na Polskiej stronie będącej, *idźcie w Imię Boże*, rzekł, żegnając się z nami poczciwy przewodnik, *już i beze mnie do Warszawy traficie.*

Nazajutrz rano przyjechawszy do Warszawy, prawdziwie byłem odurzony; ten łoskot, i huk bębnow, odgłos muzyki, przechody ciągle Francuzkiego wojska, ta postać dziwna żołnierzy w kapeluszach stósonych, w płaszczach kaźden innego koloru, z gipsową fajką w gębie, ten nadzwyczajny ruch mieszkańców jadących i idących,

to rzenie koni, ryk zwierząt, wszystko to dla mnie wieśniaka z zaciszy przybyłego, było przerażającym i niepojętym. Zatrzymawszy się na placu Krakowskiego przedmieścia, tam po raz pierwszy ujrzałem uszykowaną Polską piechotę. Nie podobały mi się owe długie bagnety u karabinów i parciane torby, jakie z początku formacyi piechota księstwa Warszawskiego nosiła. Umyśliłem zatem zaciągnąć się do kawalerji, a ponieważ jeszcze kawalerji nie było, trzeba było czekać.

Czosnowski, mój towarzysz podróży, zaciągnął się do gwardji honorowej, ja zaś opierając się ciągłym namowom abym się do piechoty zapisał, czekałem jeszcze na kawalerję. Aż nareszcie obaczyłem ułana w jasno-zielonym z pasowem mundurze, rzuciłem mu się prawie na szyję, a uwiadomiony, gdzie się ich półk formuje, udałem się do koszar pod zdrojami, tam oddany w opiekę gromadzownikowi Gromczewskiemu, zapisany zostałem jako kadet do ułanów Kraszińskiego zwanych. Wincenty hrabia Krasziński, zaczął być półk formować, ale gdy dostał nominacyą na półkownika szwoleżerów przy cesarzu Napoleonie, półk przez niego pierwotnie formowany, rozebrany został pomiędzy gwardyą a pierwszy półk ułanów Kwasińskiego. Zabrawszy z sobą kilku kadetów, poszliśmy do księcia Józefa Poniatowskiego, prosząc o pozwolenie udania się do armii Francuzkiej; co gdy nam udzielonem zostało, odmówiwszy ofiarowanej mi przez Gromczewskiego rangi oficerskiej w półku ułanów, zaciągnąłem się do półku huzarów, którego formował Michał Pruszek a po nim Kalinowski. Zapewnie za to, że u ułanów nie chciałem być oficerem aż się służby nauczę, u huzarów zrobili mnie brygadyrem czyli kapralem; umundurowawszy się wła-

snym kosztem, najwięcej służby robiłem, wszelkie bowiem posyłki odbywałem, i jako wzór przedstawiany byłem. W pierwszej kompanii wyborczej, na prawem skrzydle kapral, święcie służby pilnowałem, starszych słuchałem i szanowałem, żyłem oszczędnie, ani myśląc co dalej nastąpi. Kiedy brat Wincenty przyjechał, pieniądze od matki przywiózł i nasuwał projekt czyliby lepiej nie było wrócić do domu; odpowiedziałem mu, iż okryty chyba ranami, dopiero wrócić do domu, uważałem bowiem stan wojskowy za szkołę doświadczenia, świat za bibliotekę, a ludzi za książki, z którymi żyjąc, będę mógł się nauczyć być człowiekiem. Miałem w kompanii wielce zacnego i dobrze służbę znającego kapitana Czaplńskiego, dawnego legionistę, porucznika Antoniego Libiszowskiego, podporuczników Moszyńskiego i Karóla Libiczowskiego, starszego sierżanta Topolezaniego, którego później w pierwszej bitwie w Hiszpanii pod Malań, w przeprawie przez rzekę Ebro utonął; nakoniec Stanisława Oszińskiego, z którym wciślej ciągle zostawałem przyjaźni. Wkrótce, mój kapitan Czaplński, poznawszy pilność moją w służbie i statek, posunął mnie na sierżanta, a następnie na starszego, w miejsce Topolezaniego.

Na rewii półku odbytej pod Młocinami przez generała Roźnieckiego, trafnie przedstawiłem każdego żołnierza i konia z rynsztunkiem, a na manewrach, gdy generał oficerów, za nieumiejętność w służbie, za front wysłał, ze mną wszystkie poruszenia wojskowe zrobić potrafił, za co uzyskałem pochwałę. W tym właśnie czasie, półkownik Kalinowski wykradł Protowi Potockiemu córkę, i z nią się ożenił: do którego to wykradzenia z kolegami użyty byłem.

Po odbytej rewii, zapewne za grzechy naszego półkownika, półk za karę wysłanym został do Konina, z kąd wkrótce wymaszerowaliśmy na Berlin, Potsdam do Westfalii do miasta Minden, niedaleko Kassel. Tam po licznych przeglądach, wybrano sto ludzi z naszego półku do gwardyi Hieronima Bonapartego króla Westfalskiego, do którego to oddziału, oficerowie stopniem niżej, a podoficerowie na żołnierzy, zamieszczeni zostali. Czaplinski, jako szef tej gwardyi, utrzymał się przy randze majora, Dąbrowski z majora na kapitana przeszedł, Maxymilian Niezabitowski z kapitana na porucznika, Moszyński i ja mieliśmy wolność wybrać, albo przejść do legii do półku ułanów na oficerów, albo pozostać w gwardyi w dawniej naszej randze. Bez wątpienia, byłbym wybrał pierwsze moje przeznaczenie, lecz idąc za namową Czaplinskiego, na moje nieszczęście pozostałem w gwardyi. 300 ludzi z naszego półku wybrano do półku ułanów legii Nadwiślańskiej, resztę wcielono do piechoty tegoż legionu, gdzie niektórych oficerów w właściwych rangach umieszczono; półkownik Kalinowski dostał rangę generała adjutanta, i z wielu oficerami do Polski powrócił, a tak ukończyła się od razu exystencya naszego półku huzarów.

Nowy mój kapitan Dąbrowski, dawny oficer, znał służbę polową, ale w garnizonie, żołnierzy w karności utrzymać nie umiał, ztąd skargi ustawiczne aż do samego króla dochodziły; że więc z tego powodu Niemcy chcieli się nas pozbyć, cały nasz szwadron odesłanym został do Osnabrück, do półku ułanów legii Nadwiślańskiej, będącego pod dowództwem półkownika Konopki.

Tuśmy dopięro poznali, cośmy utracili na przejściu naszym do gwardyi Westfalskiej, a szczególnie ja i podo-

ficerowie; policzeni bowiem zostaliśmy u ułanów, za prostych żołnierzy.

Półkownik Konopka, chociaż dworak, uczuł jednak niesprawiedliwość nam wyrządzoną: oficerów częstował, a nas udarował zaszczytem straży sztandarów.

W Osnabrück, trębacze z naszego szwadronu Francuzi, poszli do adjutanta podoficera Augusta także Francuza ze skargą, iż źle mają kwatery; ten kazał mnie do siebie przywołać, ci zaś nic mnie o tem nie powiedziawszy, zraportowali, że miałem odpowiedzieć: „taka mu droga do mnie, jak mnie do niego.” Do żywego urażony Francuz, wsadził mnie na odwach, o czem półkownikowi zdał raport. Na odgłos tej niesprawiedliwości mnie wyrządzonj, zbiegli się koledzy i byliby pewnie rozsiekali Francuza, gdybym ich nie był prośbami moimi wstrzymał, a żal i oburzenie nasze utopiliśmy w winie. Tu przy butelce, poznałem się z Piotrem Rogojskim, sierżantem natomiast od warty; odtąd zaczęła się przyjaźń nasza, wśród dobrej i złej doli niczem nienaruszona, i która trwać będzie do grobowej deski.

Nazajutrz w południe, przy oblózie warty, przyszedł półkownik Konopka na odwach, a wyptałszy się o wszystkim, mało dawszy poznać o ile podziela krzywdę moją, uwolnił mnie z aresztu, z kąd wyszedłszy mocno zachorowałem. Wróciwszy do zdrowia, gdym przyszedł z raportem do kapitana Dąbrowskiego, zastałem u niego wielu oficerów z naszego półku; ci braterską łagodnością, a szczególnie gromaźor Klicki, długą, i że tak powiem, ojcowską rozmową, uspokoił rozżalone serce moje.

Przy końcu 1807 roku, wymaszerowaliśmy ku Renowi. W Erfurcie, ubrano mój szwadron w wlańskie mundu-

ry, i podzielono go pomiędzy ośm kompanij naszego półku. Nieszczęście moje chciało, że każda kompania miała starszego sierżanta, wyjąwszy osmą, w której umieszczony zostałem jako wachmistrz szef kompanii, i do której z całego półku za karę posyłano żołnierzy. Dobrano nam też stosownego kapitana Szulca, którego w służbie garnizonowej celował gorliwością, w rygorze dla podoficerów był okrutnym, dla oficerów złośliwym gdyraczem, a dla żołnierzy nieznośną mantyką.

Półk nasz niedługo zabawiwszy w Erfurcie, przez Moguncję, przebywszy prawie całą Francją, przemaszerował do Bajony.

Jeżeli służba kawaleryi, wśród walki, na większe niebezpieczeństwo jest narażoną od piechoty, jeżeli stojąc w assekuracji armat, ginie nieraz bezczynnie, z drugiej strony, kiedy piechota z bagnetem wręku przeważa szalę zwycięstwa, przejście kawaleryi po pobojowisku, toż zwycięstwo ustala.

Lecz nie masz nic nieznośniejszego, szczególnie dla oficerów niższej rangi i podoficerów, jak długi kawaleryi pochód, a takim było nasze przejście przez Francją. Skoro zmrok padał, trąbiono na koń, półk się zbierał, całą noc maszerował, i o godzinie 8 lub 9 z rana na kwaterach stawał. Starszyzna ma się rozumieć, podjadłszy, spoczywała, kiedy naszą powinnością było, kompanie rozkwaterować, raporta z odmianami ułożyć: sytuacją napisać, żywność i furaż odebrać, rozdać i dopilnować, ażeby na bok nie poszło; poczem następowało chędożenie koni, rewizya, czy którego nie odsedniony, podkowy nie zgubił, rynsztunek i broń czy są w całości, a wszystko zrewidowawszy, żołd wypłaciwszy, trzeba było poula-

twiać korespondencją, odmiany w kontroli ludzi i koni odpisać należycie, słowem, to ukończywszy, za ledwo człowiek miał czas godzinkę się przespać, gdy pobudka już na koń wzywała.

Znużenie nasze do tego też przychodziło stopnia, iż żołnierz spał nieraz na koniu wśród marszu. Tu mi przychodzi na pamięć zacięty pojedynek zdarzony w naszym półku w Hiszpanii. Porucznik Stadnicki tegi i dziarski chłopak, uważał, że porucznik Linkiewicz, Litwin poczciwy już w wieku będący, na starym też koniku, zawsze na swoim miejscu maszerował, ale zwykle drzymał. W chwili gdy półk cały był, że tak powiem, snem znużony i wszyscy w najgłębszej maszerowali cichości, Stadnicki wzięwszy konia Linkiewicza za cugle, odprowadził go na bok i w przeciwną stronę obrócił. Widocznie, że i Linkiewicz i koń jego spać musieli, gdy Stadnicki odjechał, półk bowiem i aryergarda przemaszerowały, a on pozostał na miejscu. Żart podobny mógł nawet Linkiewicza na wielkie niebezpieczeństwo narazić, bo najczęściej w Hiszpanii gierylasy tuż za aryergardą postępowali, sprzątając maroderów po drogach. Linkiewicz przebudzony, zrozumiałszy swoje położenie, niedługo wrócił do półku, a doszedłszy sprawy figla i zawoławszy go na stronę, srogi z nim bój po nocy rozpoczął. Wpadli wprawdzie oficerowie na odgłos szczęku pałaszy, lecz już było zapóźno, Linkiewicz szkaradnie porąbanym został.

Smutniejsze, a nawet wielkiej wagi było zdarzenie w Hiszpanii z podobnych powodów.

Nad rzeką Guadiana, w siedm półków kawaleryi, składaliśmy dywizję, dowodzoną przez generała Merle. Przeszedłszy rzeczoną rzekę, zrobiliśmy poruszenie naprzód,

a dotarłszy do jazdy Hiszpańskiej nad samym świtem, cały dzień strawiliśmy na małych utarczkach i manewrach, dla rozpoznania siły nieprzyjacielskiej, i pozycji militarnej. Ku schyłkowi dnia, cofnęliśmy się w tył, i co tylko dla pożywienia się i odpoczynku rozłożyliśmy się obozem, nadciągnął czwarty korpus generała Sebastyaniego, w którym znajdowały się półki księstwa Warszawskiego, pod dowództwem pólkownika księcia Sułkowskiego, dywizya Niemiecka, półk huzarów Holenderskich i półki Francuzkie. Skoro, mówię, tylko cośmy się rozpołożyli, wydano rozkaz na koń, i znów w to samo miejsce zkądeśmy przyszli, pomaszzerowaliśmy napowrót. Nasz półk z półkiem Holendrów składał brygadę pod generałem Perimont już w wieku i doświadczonym oficerze. Utrudzenie i niewywczas były nadzwyczajne, lubo zmienialiśmy się z półkami w awangardzie. Kolój była na Holendrów przypadła; ci ubrani w niebieskie mundury, kominę i język zachowywali narodowe. Nami wtedy dowodził mężny kapitan Huppert, taki bowiem już wtedy był niedostatek sztabs-oficerów, że subalterni wyższych a podoficerowie niższych, zastępować musieli w służbie i w boju.

Półk huzarów Holenderskich, powtarzam, szedł w awangardzie, za nim półki kawalerji Francuzkiej, dalej nasz półk ułanów, po którym następowała dywizya Polskiej piechoty, piechota Francuzka, artylerya, bagaże, dalej ciągnął korpus marszałka Wiktora, któren całą tą wyprawą dowodził. Noc była ciemna, cichość największa zalecona, gdyż zamiarem naszym było, korpus Hiszpański rozlokowany we wsi Moncenares, napaść niespodzianie, równo ze świtem. Do cichości i spokojnego marszu, kaźden żołnierz w Hiszpanii był przyuczony, tu zaś w no-

cy, kiedy kawalerja już drugą noc wcale nie spała, a przez cały dzień manewrując i uciérając się z przemagającym w siły nieprzyjacielem, wielce strudzoną była, od generała aż do żołnierza wszystko na koniach spało, a co najgorsza, że awangarda i szpica Niemiecka, zarówno uległa znużeniu.

Kiedy bowiem marszałek maszerujący na czele piechoty dostrzegł, że kawalerja, zamiast zatrzymać się przed ogrodami oliwnemi, i czekać aż się korpus uszykuje i świtać zacznie, wciąż maszeruje, rozgniewany, posłał adjutanta z rozkazem zatrzymania kolumn. Ten nie mogąc dojechać do czoła kolumny, bo kaźden śpiąc, żaden nie ustępował mu z drogi, krzyknął więc przeraźliwie *halt!*

Na to hasło szpica dała ognia, awangarda mając broń przygotowaną, toż samo uczyniła.

Huzary wpadli na półki Francuzkie, mniemając, że to kawalerja Hiszpańska, Francuzi pochwyciwszy za broń, skoczyli na Holendrów biorąc ich za półk Szwajcarów, będący na żołdzie Hiszpańskim.

Szczęściem dla nas, Huppert krzyknął: „Polacy na prawo“ i dlatego mało się naszych do téj bitwy wzięszło. Tak pomiészana ogromna kupa kawalerji lecąc w tył, napadała na naszą Polską piechotę, która uszykowana w kolumny, przywitała ją rześistym ogniem. Kawalerja sądząc, że to piechota Hiszpańska, atak powtórzyła, i powtórnie z wielką stratą odpartą została.

Inne dywizye już się uszykowały do boju, na przyjęcie napadu nieprzyjacielskiego, lecz artylerya sądząc, że wszystko stracone, zaczęła armaty zagwałdzać, konie obrzytnąć i w tył uciekać, a pomiészawszy się z bagażami, kantynicznymi, mułami, osłami, trudny do opisanja niepo-

rządek i nieład sprawiła, któren wschodząca jutrzienka przed oczami naszymi odkrywszy, boleścią każdego z nas serce napełnia.

W Mancenares korpus Hiszpański, obozując po utarczce po której się cofnęliśmy, tryumfując niby ze zwycięstwa, nie spodziewał się ułożonego napadu, którego skutki, najkorzystniejsze dla nas wypadki byłyby bez wątpienia przyniosły. Smutne nasze nocne wydarzenie, nastąpione z powodu ospałości generała komenderującego awangardą i samęj awangardy, przypisane jednak zostało Polakom. Że piechota Polska dała ognia do kawalerii, może w części jest winną: uszykowana bowiem w kolumny, z bagnietem w rękę mogła na mniemanego nieprzyjaciela czekać, mogła kilkakrotnie zapytać kto idzie? zwłaszcza iż mniej daleko znużoną była od kawalerii. Mogła łatwiej od nas spostrzedz pomyłkę, tym bardziej że mniemać należało, iż wojsko Hiszpańskie, nie odważyłoby się tak śmiało w nocy na nasze kolumny napadać. Porywczosć powtarzam piechoty, mogła być ganioną, ale półk nasz w czém przewinił? Wtém chyba, że się na bok usunął i udziału nie miał w tój nieszczęśliwej bitwie.

Marszałek jednak, kazał nam nieukontentowanie swoje oświadczyć, i tu się znowu znalazł powód do wstrzymania awansów i nagród zasłużonych oddawna. Korpus Hiszpański, obudzony rześystym ogniem z ręcznej broni, tuż pod obozem, w nieładzie mało co mniejszym od naszego, cofnął się na bezpieczne stanowiska, zapomniane czyli odbieżane placówki, dostały nam się w zdobyczy za trudne do wynagrodzenia straty w zabitych i rannych, których liczba do tysiąca dochodziła.

W ciągu naszego utrudzającego przez Francją przemarszu, byliśmy przez mieszkańców, wszędzie jak najmilej przyjmowani; na każdej kwarterze, dawano nam jeść i pić podostatkiem.

W Paryżu, postawiono półk nasz nad Sekwaną w starym mieście, gdzie mojej kompanii, wypadło postawić konie pod murem. Tam, żołnierze chędożąc konie, a my dozorując, obaczyliśmy nieznanomego przechodzącego, i z wielką pilnością nam się przypatrującego. Wtém starsi legioniści poznają w nim Kościuszkę; gdyśmy go powitać chcieli, rzucił się w uboczną ulicę, i znikł nam z oczów.

Na początku miesiąca maja 1808 roku, stanęliśmy w Bajonie, gdzie już zastaliśmy cesarza Napoleona, z cesarzową Józefiną. Tam, pierwszy raz stanęliśmy obozem, pod namiotami.

W parę dni po przyjsciu naszym, wystąpił nasz półk na rewie; liczył do 1200 ludzi. Uszykowali się kompaniami w jeden szereg, pieszo przy koniach. Przyszedł cesarz; a od oficera, do żołnierza, obejrzawszy każdego, już był w środku kompanii piątej, która z pierwszą składała 1szy szwadron, kiedy dobrze podpiły z czterema szewronami żołnierz, lichą francuzczyzną, podnosząc nogę, zawołał: „Patrz cesarzu! jakie ja mam bóty, bez podeszew, a służąc lat 25, ani wiem, wiele nam massy, bo książeczki nie mam, a półkownik z kwatermistrzem zjadają fundusze”. Tu dopiéro cesarz obróciwszy się raptem, zawołał na półkownika, któren się z braku książeczek wytłómaczył, iż pisać po francuzku nie umiemy.

Już więc dalej cesarz nie lustrował; kazał wsiąść na koni i rozpocząć manewra. Z początku, półkownik i ofi-



cerowie, pomieszani niespodziewaną skargą żołnierza, tak potracili głowy, że ewolucye, szły Bóg wie po jakiemu. Cesarz poznawszy ociężałość w poruszeniach, ze zbyt dużych kolumn pochodzącą, kazał więc uformować plutony po rót 12, a zbywające w tył odesłać; powrócili też do siebie panowie oficerowie, a cztery szwadrony po 4 plutony każdy, z piątym szwadronem flankierskim odbywając zręcznie obroty wojskowe, zwinnością koni, trafnością i zręcznością w każdej ewolucyi, zyskali szczególne zadowolenie cesarskie.

Po manewrach, półk częstowany został uczta, wydana dla nas przez szwoleżerów Krasieńskiego, podczas której, ukazał nam się cesarz Napoleon, okrzykami radości przez nas powitany. Pomimo, iż uczta przez noc całą trwała, tak, iż małą zaledwie można było w obozie zebrać garstkę żołnierzy, dla dania koniom obroku i onych napojenia, połowy jednak wina przygotowanego dla nas, wypić nie byliśmy w stanie. Nazajutrz, udarował cesarz półk nasz czterdziestu krzyżami Legii honorowej za batalię pod Sz wajnie odbytą w Niemczech w 1806 roku. Byłyto pierwsze ozdoby wojskowe, udzielone temu półkowi, koren uformowany we Włoszech, pod dowództwem generała Kniaziewicza, przez półkownika Alexandra Roźnieckiego, miał sobie udzielone sztandary, jeszcze za czasów konsulatu Napoleona. Tegoż samego dnia, rozdano żołnierzom, a nawet i oficerom, karabinki i ostre ładunki; poczem, zatrąbiono w marsz, i poprowadzeni zostaliśmy pieszo, każdy konia prowadząc w rękę, w Pirenejskie góry.

Drugiego dnia pochodu, już widzieliśmy Hiszpańskich górali na skałach, którzy wykrzykując obcym językiem,

do nas strzelali. Wśród śniegów i zimna, przedrapaliśmy się wązkami manowcami aż do Pampeluny. To miasto mocno ufortyfikowane, już zastaliśmy w rękę Francuzów, zdobyte fortelem bez wystrzału przez generała Bonet.

Wiadomo, że cesarz Napoleon chciał półwysep, czyli Hiszpanią i Portugalią, bardziej przez przyjęcie formy rządu i konstytucyi podobnej do istniejącej we Francyi, nakłonić do ścisłych stosunków sąsiedzkich, jak podbić pod swoje panowanie, a przez to, te dwa królestwa od wpływu Angielskiego oderwać. Karól IV^{ty} król Hiszpański tym bardziej się temu nie sprzeciwiał planowi, iż książę pokoju Godoi, faworyt królowej, całą tą intrygą kierował. Szcuple wojsko Hiszpańskie wyprowadzone z kraju; zastąpiło wojsko Francuzkie, z tego powodu generał dywizyi Bonet stanął obozem pod Pampeluną.

Codziennie chodziły oddziały wojska Francuzkiego po żywność do miasta, z kąd wracając wesoly żołnierz Francuzki, wskokach zręcznych po śniegu, odbywał gonitwy.

Kiedy czas nadszedł zająć fortecę, generał rozkazał odbywać żołnierzom zwyczajne gonitwy, zbliżał ich coraz bardziej do szaniców i bramy, za którą dostawczy się, jedni rzucili się na broń straży, która przypatrywała się tym rozrywkom, drudzy zaś opanowali arsenał. Zbrojne oddziały przyszedłszy im w pomoc, bez wystrzału, stali się panami fortecy, która jako pograniczna, otwierała im wnijscie do prowincyi Nawarry, na zajęcie której, byliśmy wysłani z generałem brygady Lefèvre Desnouettes.

Francuzi osadzili wojskiem główne punkta w Hiszpanii i Portugalii, z czego oburzony naród na króla, domagał się od niego, aby zrzekł się korony na rzecz syna

swojego, Ferdynanda VII^{go}; co gdy nastąpiło, Ferdynand wjechał do Madrytu. Napoleon przybywszy do Bajony w celu pogodzenia syna z ojcem, obydwoh namowami swojemi tam sprowadził, ale gdy w czasie układów, Ferdynand chciał do Hiszpanii uciekać, uchwycony przez żandarmeryą Francuzką, w głąb Francyi wywiezionym został. Króla zaś Karola z żoną i faworytem do Wersalu odesłano. Trzeba było zatem wojska jak najwięcej i jak najrychlej do Hiszpanii posyłać, w pomoc tam będącym korpusom Francuzkim.

Pomimo jednak tak forsownych marszów, jakieśmy z tego powodu czynić byli przymuszeni, przyszlśmy do Hiszpanii zapóźno.

Rewolucya Hiszpańska wspierana przez Anglików, podlegana przez księży, rączym postępowała krokiem. Już korpus generała Junota przymuszonym został kapitulować w Portugalii (1), a 17,000 wojska pod dowództwem generała Dupont, po nieszczęśliwej bitwie pod Baylen broń złożyło, z którego to korpusu, jeden tylko półk kirasyerów, jakby cudem, przetrząć się do wielkiego księcia Bergu zdołał. Już Murat odwołany do Francyi, a sam Józef Bonaparte 6 czerwca 1808 r. obrany

(1) Kapitulacya generała Junota, podpisana została w Lisbonie 30 sierpnia 1808 roku. Na mocy jęj, cała armia Francuzka, przewieziona na okrętach Angielskich, miała być wylądowaną we Francyi z wolnością użycia onęj, w dalszym ciągu wojny. Tym sposobem z 29,000 ludzi składających korpus Junota, do 3,000 zginęło, 2,000 umarło, 2,000 nie wylądowało do Francyi; z tych bowiem część utonęła, część złożona ze Szwajcarów przeszła do służby Angielskiej. Z całej zatem armii, wróciło do Francyi 22,000 ludzi, którzy wyszedłszy z kraju rekrutami, bitnemi żołnierzami do niego wrócili. *Historya Wojny Półwyspu pod Napoleonem*, przez generała Foy.

królem Hiszpańskim, w sześć dni po przybyciu swoim do Madrytu, z wojskiem musiał opuszczać stolicę.

W Pampelunie dozwolono nam kilka dni odpocząć. Patrzącym na tamecznych mieszkańców, śniadęj twarzy, w kolistych płaszczach z czarnego lub bernardyńskiego sukna, w parcianych trepkach, z głową krymką przykrytą, z cygarem w gębie, zdawało nam się, iż usmięrczenie onych tak nam łatwo przyjdzie, jak z Westfalczykami rozprawa; w Westfalii bowiem zebranych chłopów po karczmach i uzbrojonych w widły, kropiąc płazami, z łatwością do posłuszeństwa władzy znaćlić zdołaliśmy. Wyruszywszy z Pampeluny, dnia trzeciego pochodu, ponad brzegiem rzeki Ebro spostrzegliśmy obóz nieprzyjacielski, czyli raczej kupy chłopów, którzy za zbliżeniem się naszym poszli w rozsypkę.

Przeprawiawszy się przez Ebro, zajęliśmy wioskę bezludną. Rozstawiono placówki, pikiety, a półk jak mógł, tak się rozkwaterował. Ponieważ magazynów nie prowadziliśmy za sobą, każdy musiał myśleć o tém, czém sobie i konia pożywi. Rozbiegła się wiara po wsi. Jedni za oltarzem w kościele znalazłszy pszenicę, nasypali koniom w żłoby, drudzy dostarczyli wina, kur, wieprzowiny, tak więc na pierwszym naszym wojennym noclegu i my i konie nasze nie doznałimy głodu. Dnia 7 czerwca nad rankiem pikiety dały ognia, zatrąbiono na alarm, aż tu konie nasze z miejsca ruszyć się nie chcą, tak się pochwaciły pszenicą. Wnet się pokazało, iż pikiety strzeliły do bydła, które się na chorągiewki nasze rzuciło. Z téj więc strony zaspokojonym, radzić nam wypadało, co z naszymi końmi robić. Jedni zaczęli koniom krew puszczać, drudzy uszy nadrzynać, ci dziury w krzyżach

świdrować; niewiele to wszystko pomogło, gdyż nam zaraz ze dwieście koni padło na miejscu, reszta prowadzona w rękę, za ledwo krok za krokiem zrobić mogła. Niedaleko za wsią słychać było mocną kanonadę, a myśmy rozpaczali, że się bez nas bitwa, a może i kampania zakończy. Jakoż wkrótce strzały ucichły, a my nakoniec doleźli do miejsca pobojowiska. Pod miastem Tudello (1), krzyki i lamenta niewiast i dzieci zwiastowały, że miasto wystawione na rabunek, z którego Hiszpanie cofnąwszy się w największym nieładzie, zostawili armat kilka, i wszystkie bagaże. Gdyby nie ten nieszczęśliwy wypadek półku naszego, dla zreorganizowania którego korpus zatrzymać się musiał dni kilka w Tudello, przepłoszywszy powstańców, byłoby może się nam udało opanować miasto Saragosę, której zdobycie później, tyle krwi kosztowało!

Odesławszy do Pampeluny rannych i maroderów naszych, pokrzepiwszy siły jak tylko można było, ruszyliśmy naprzód, i dnia następnego to jest 13 czerwca, pod wsią Mallan ponad strumieniem Huecha, zastaliśmy generała Palafoxa, którego na czele 9,000 gierylasów i 200 regularnej kawalerji, chciał nam drogę zastąpić. Kilka zręcznych ewolucyj i śmiały napad naszego szwadronu, którym przewodził kapitan Skarzyński, szybkie wystrzały artylerji na przód z naszych ułanów przez kapitana Huppet zformowanej, rozproszyło nieprzyjaciela, któremu szwadron nasz, przeprawiwszy się przez rzeczkę, z tyłu zaszedł drogę. Nuż wtedy Hiszpanie uciekać za Ebro, a my za nimi gonić do upadłego. Tam rzeź była mordercza,

(1) Wojsko Hiszpańskie złożone z kilkuset strzelców Arragońskich pod dowództwem margrab. Lazan, brata starszego Palafoxa.

gdyż ani słowa nierozumiejąc ich języka, czy więc prosili o darowanie życia, lub gardzili pardonem, niezważając na nic, rozjuszone ułany bez miłosierdzia topili lub kłóli każdego. Zatrąbiono na odwrót, a przyszedłszy nad Ebro, rzekę wezbraną, już prawie nie do przebycia znaleźliśmy. Tam oficer nasz Topolczani utonął, a pęd wody tak był silnym, że jednego szasera pochwycawszy z konia, wpakował pomiędzy pale pobite dla stawiania siodeł na ryby. Wszyscyśmy tego nieszczęśliwego ratować chcieli, a powiązawszy furazowe postronki, i niemi go opasawszy, pociągnawszy silnie pod wodę, jużemy go byli wyciągnęli z pomiędzy pali, gdy postronki pękły, a nieszczęśliwa ofiara w mgnieniu oka pochłoniętą została.

Kantynierka z półku naszego, na mule puściła się była wpływ za nami, lecz woda mufa pochwycawszy, szybko pędem swoim niosła. Szczęściem iż kantynierka po obu dwóch stronach miała kozy napełnione winem; te utrzymując w równowadze mufa na wodzie, nie dozwalały mu zatonać. Naprózno nieszczęśliwa w wzniesionemi rękoma do nieba o ratunek wołała. Wszyscyśmy z brzegu jej niebezpieczeństwo widzieli, żaden ratunku dać nie mogli. Mufa jednak instynktem wiedziony, zwolna kierując ku brzegowi, nakoniec z kantynierką i kozami szczęśliwie dopłynął.

Nieprzyjaciel rozbity i na wszystkie ścigany strony, utracił armat kilka, czém uradowani, mniemaliśmy, iż kampania skończona.

Nazajutrz znów Hiszpanów uformowanych w kolumny spotkaliśmy pod Alagon, nad rzeką Xalon, a powtórnie ich rozbiwszy, wpędziliśmy niedobitki nieprzyjaciół naszych aż do miasta Saragossy. O pół mili od miasta za-

Jeliśmy ogromny klasztor w Molviedro. W całej tej okolicy ładne domki otoczone wodą, sztucznie szluzami prowadzoną, świadczyły i o zamożności i o dobrym goście mieszkańców, a rozkoszne gaje z drzew oliwnych, pomarańczowych, i cytrynowych złożone, opasane żyznymi winnicami, zachwycający widok przedstawiały oku. Wpółśród alei gęsto z obu stron rozmaitemi obsadzonej drzewami, szła szosa szeroka wiodąca do bram Saragossy, kiedy niekiedy przerywana, to odnogą rzeki Ebro, to spławnym Aragońskim kanałem, to znów fosami szluzami opatrzonemi, po których mosty z ciosowego kamienia. Miasto samo położone nad rzeką Ebro, otoczone murem na 10 stóp wysokim, a na 3 grubym, obok niego leży góra wysoka, panująca nad całą okolicą, nazwana Monte Torrero. W tym samym dniu, w którym zbliżyliśmy się pod mury Saragossy, to jest 16 czerwca, wylamane bramy stały otworem, oddział nawet flankierów z oficerem Snarskim i Piotrem Rogojskim przebiegł niektóre ulice. Ludność cała schowana, jakby pod ziemią, mniemaliśmy, iż oczekuje chwili ukorzenia się przed nami, przebłagania zwycięzców. Ku wieczorowi półk nasz ruszył kłosem plutonami ku miastu, ale zatrzymawszy się, nie wiem dlaczego przed samą bramą, zdawał się jakby oczekiwać, albo na spodziewaną kapitulację mieszkańców, albo na dalsze rozkazy. Piechota nieprzyjacielska strudzona, siedziała pod murami, mając obok siebie armaty, naprzeciw naszym wykierowane działom; w milczeniu przypatrywały się obie strony sobie.

Głucha panowała cichość, a każdy jakby słuchał aż wybije godzina, w której wyroki nieba rozstrzygną o losie niezliczonych familij, a może dwóch wielkich narodów.

Wtém dał się szmér słyszeć za murami, i bramę z wielkim zatrząśnięto łoskotem. Było to umówioném hasłem, gdyż w téjże samej chwili, grad kul wysypano na nas. Kawalerya stojąca pod samemi strzelnicami na wystrzał pistoletowy, za pierwszym ogniem, wiele ucierpiała. Krzyk rannych, przerażające głosy Hiszpanów, napęlniały powietrze. Nie było miejsca do rozwinięcia kolumny plutonami ściśnionej, a morderczo ponowiony ogień, pociski z wież i z okien, wtłoczyły nas w poblizki ogród, z którego jak kto mógł, życie unosił. I tak, Rogojski na swoich barkach przyniósł do obozu Snarskiego śmiertelnie rannego. Za naszym przykładem, artylerya i piechota ratować się musiała, a szczęście dotąd nam się uśmiechające, na ten raz zupełnie nas odstąpiło.

Piechota i artylerya w ogrodach opodal od miasta stanęły, my zaś będąc w tej wyprawie jedyną kawaleryą naszego oddziału, zajęliśmy militarną pozycyę pod klasztorem Molviedro. Tam trzeba było pilnować się i myśleć o gospodarstwie, bo żadnych magazynów, ani zapasu żywności i furazu nie mieliśmy. W początkach, dopóki w poblizkości były stada owiec, zboże i wino, było co jeść i pić, a człowiek dziś niegłodny, o jutrze nie myślał. Lecz wkrótce służba dla nas coraz się uciążliwszą stawała. Musieliśmy dla całego korpusu dostarczać żywności, o którą coraz trudniej było.

Żołnierz powróciwszy z patrolu, albo z mozolnej za żywnością wyprawy, szedł na wartę, i znów z warty na podobne expedyce, gdzie prawie o kaźden worek słomy, trzeba było walczyć z powstańcami. Wszyscy bowiem mieszkańcy, duchowni i świeccy, szlachta i chłopci, starzy i młodzi, uprowadziwszy w niedostępne góry,

niewiasty i dzieci, dobytek, żywność, i droższe sprzęty, chwycili za oręż, i morderczą nam wypowiedzieli walke. Wojna Hiszpańska podszezuwana przez Anglią, która wszędzie Napoleonowi nieprzyjaciół tworzyć chciała, rozjątrzona przez księży, nie mogła być jak tylko pasmem okrucieństwa i mordów, które opisywać w szczegółach natura się wzdryga. Nie masz pastwienia się i tortur, którychby się Hiszpanie na jeńcach Francuzkich nie dopuścili, nie masz swawoli, i rozpusty, którejby żołnierz Francuzki nie dopełnił w Hiszpanii.

Głód, trudy, niewywczas, w nocy zimno, a w dzień tak nieznośny upał, iż na koniach skóra pękała, coraz bardziej wycieńczały siły półku naszego. Umieszczono więc nas obozem niby w dogodniejszym miejscu, rozkazano konie postawić w barakach, bo dłużej upału nie byłyby wytrzymały; to jednak nie zasłoniło nas bynajmniej od pocisku bomb, których tysiące dniem i nocą wyrzucano na nas.

Po upływie kilku tygodni, nadciągnęły nam posiłki z Pampeluny, a z niemi artylerya wałowa złożona z 46 armat ciężkiego kalibru, między którymi było 4 mōdziérzy i 12 haubic. Gienerał dywizyi Verdier, przyprowadziwszy pod Sarogossę 2000 ludzi, jako najstarszy rangą objął komendę nad nami. Ale przystęp do miasta już nie był tak łatwy, jak w dzień naszego przymarszu. Piechota musiała się podkopywać rowami, a zbliżywszy się do bram miasta, z wielką trudnością sypała dla artylerji baterye. Z tych, śmiałemi wycieczkami nieraz nasi wyparci, z bagnetem w ręku walczyć musieli o piędź ziemi, krwią własną zbryzganą.

Po długich przygotowaniach, postanowiono szturm generalny przypuścić, i w tym celu rzucono most na rzęce Ebro. Półk nasz przez ten czas, wiadomemi punktami, raz na tę, drugi raz na przeciwną stronę rzeki, w ciągłych poruszeniach, miał rozkaz przecinać wszelkie komunikacye obleżonym, i wstrzymać posiłki na odsiecz Saragossy z Katalonii i Walencyi ciągnące. Wtém, dnia 4 sierpnia o naznaczonej godzinie zrana, ryknęły armaty; pękły podwójne mury miasta, za którymi przy strzelnicach bohaterski mieszkanię Saragossy, pierściami swojemi zasłaniał żonę, dzieci i całą własność swoją. Wyłamane bramy otwarte zostały, i już tylko bagnet miał rozstrzygnąć losy zwycięstwa.

Krzyki przeraźliwe idących do szturm, jęki rannych, wrzawa, huk broni i pocisków, płacz i rozpacz niewiast i dzieci, rozlegały się wszędzie. Równy z zachodem słońca, ogień jeszcze nie ustawał, a półk nasz przeszedłszy przez most na Ebrze, zajął dawne stanowisko pod klasztorem Molviedro. Ciemność przerwała bój zacięty, strzały tylko armatnie, coraz rzadsze, jeszcze kiedy niekiedy przerywały cichość nocy.

Czas był pogodny, zsiadliśmy z koni, a nim sen zmorzył nasze powieki, rozmawialiśmy z sobą o losie wojny, o kapitulacyi miasta, której spodziewaliśmy się co chwila, o nadziei prędkiego końca kampanii. Równy ze świtem nowy szturm z nowym hałasem przekonał nas, że krew jeszcze strumieniami płynąć będzie; jakoż, tym porządkiem dni kilka przeszło na całodziennych zaciętych i morderczych walkach. Pomimo, iż półk nasz w ciągłym był ruchu, niektórzy z nas, w których i ja liczbie byłem, cie-

kawi co się w mieście dzieje, zostawiwszy konie przy półku, zebrawszy się z karabinami w rękę, bez wiedzy starszych i wymknąwszy się z obozu, ruszyli na oslep do miasta.

Przybiegłszy do wyłomów bram i murów, które za warownię mieszkańcom miasta służyły, w tych armaty z naszej i z ich strony opuszczone zastaliśmy, domy zaś i ulice bezludne. To wszystko przekonywało nas, iż już Saragossa zdobyta, a przecież gęsty ogień trwał ciągle. Zbliżywszy się do ogromnego gmachu, czyli klasztoru otworem stojącego, gdyśmy tam weszli, dziwny nas widok uderzył. Sprząty i świętości kościelne porzrucane, tu ciemność, tam ogień, tu pustka, a tam przebiegające istoty, jakby widma, jedne ubrane w ornaty, inne obnażone, te śpiewające, owe krzyki wydające, te zalewające się łzami, te skaczące, a wszystkie niewiasty powiększej części młode i piękne. Spojrzeliśmy po sobie zdziwieni, tym bardziej, że tych nieszczęśliwych istot było kilkaset. Wtém nadbiegł Francuz i opowiedział: „że to są ofiary obłąkane, które w czasie oblężenia miasta dostały wariacji ze strachu, a do tego klasztoru spędzone, po pierwszym szturmie stały się naszą zdobyczą; że podobnych klasztorów już dużo zdobyto, ale do zdobycia nierównie więcej pozostaje; że z ulicy na ulicę są barykady, worki z wełną i piaskiem, wszędzie gotowe do ułożenia w oka mgnieniu baterij dla artylerji; że strzelnice dla oblężonych w oknach, dachach, murach, wieżach, porobione, z których kamieniami nawet oblegających rażą; że już po kilka razy piechota nasza dostawała się na rynek miasta, ale zewsząd odparta cofać się musiała; że jeżeli

nasi zdobędą dom z prawej strony, to go znów Hiszpanie z lewej strony odbiorą; że jednem słowem, tego miasta ani zdobyć ani spalić niepodobna; że te dni kilka szturmowi wyniszczyły nasze siły, spotrzebowały amunicyą, że trudy są do niewytrzymania, a strata w zabitych i rannych z naszej strony, jest wielka i ciągła, kiedy z ich strony prawie żadna.”

Wyszedszy z owego gmachu, weszliśmy do środka miasta, a przebiegając ulice, przekonaliśmy się o prawdziwości relacji Francuza. Nie wiedzieć zkąd, kule i kamienie na nas spadały; przemknąwszy się dalej, napotkaliśmy naszą Polską piechotę Nadwiślańskiego legionu, a pozdrowiwszy się nawzajem, do końca dnia walczyliśmy jedni obok drugich.

Był wielki klasztor, w którym nasi gotowali, piekli, inni jedli i pili, gdy drudzy z przyległego domu szturmowali do obwarowanego klasztoru na przeciwnej stronie ulicy stojącego, opasanego wysokim murem, prowadzącym do poprzecznej ulicy, kędy był front kościoła, do małego placu obrócony.

Rozpoznawszy zkąd ogień ku nam skierowano, obrałem sobie nieznacznie okienko, a zakrywszy kilkunastu żołnierzy za ścianą, kazałem broń nabijać, sobie podawać, a sam koniec tylko lufy wytknąwszy, bez miłosierdzia Hiszpanów kropiłem. Po niejakiem czasie gdy ogień nieprzyjacielski ustawać zaczął, zbiegliśmy na dół, a ztamtąd na ulicę, z przedsięwzięciem zdobycia klasztoru. Przywitani gradem kul i kamieni, zaledwo się za nasz mur schronić zdążyliśmy. Wróciwszy do mego okienka, na

nowo zacząłem strzelać w kupę Hiszpanów przed klasztorem stojących. Gdy strzały moje trafnie wymierzone, zamieszanie sprawiły, umyśliłem powtórna zrobić wybieczkę, lecz w tej kulami osypany, straciwszy na pobojowisku trzecią część mojej czapki, i dostawszy w twarz kontuzję, powtórnie cofnąć się przymuszony zostałem. Gdy już słońce ku zachodowi się nachylało, twarz mi dolegać zaczęła; zresztą przypomniawszy sobie, że od rana jestem nie na właściwem miejscu, takowe zaś uchybienie surową za sobą karę pociąga, ostudzony w zapale, zwłaszcza niewidząc żadnego towarzysza mojej wyprawy, ruszyłem napowrót do obozu naszego.

Przebiegającego przez most, zdybał mnie kapitan z naszego pułku Maxymilian Niezabitowski, a zobaczywszy z opuchniętą twarzą, zasmolonego prochem, z poszarpaną czapką na głowie: „Chłopcze, czy z piekła powracasz?” Od niego dowiedziałem się, iż szwadron mój odmaszerował na przeciwny brzeg Ebru, przeszedł rzekę wpław, że kapitan Szulc, moją nieobecność meldując pułkownikowi, zaraportował, iż wiedziony nadzieją rabunku, szeregi opuściłem. Chciał nawet konia mego zabrać z sobą, którego zostawił tylko na prośbę oficerów.

Dreńczony do żywego, pobiegłem do konia, chcąc natychmiast ruszyć za komendą, ale zawołany do pułkownika, opowiadaniem mojem zaspokoiwszy ciekawość oficerów, a przerażającą moją postawą z czapką poszarpaną, pobudziwszy wszystkich do śmiechu, uwolniony od kary, pośpieszyłem za moją kompanią, którą dopiero aż nazajutrz dopędzić zdołałem. Równy ze dniem napadli-

śmy na konwoj amunicji, żywności i pieniędzy, z Katalonii do Saragossy wysłany; ten zabrawszy szczęśliwie, powróciliśmy do obozu.

Tymczasem szturm do Saragossy trwał ciągle, aż w dni kilka po zachodzie słońca zawołano na koni; a skoro pułk wystąpił, placówki pościągał, i do marszu się szykował, kilka eksplozji w Saragossie słyszeć się nam dały. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że minami wysadzone zostały w powietrze główne klasztory, i ów z nieszczęśliwemi obłąkanemi niewiastami.

15 sierpnia ciężkie działa i moździerze zatopiwszy, zapaliwszy obozy, przy takiej iluminacji opuściliśmy to miasto bohaterskie, trudne do obliczenia straty w ludziach, koniach i rynsztunkach poniosłszy.

Wiadomość o zbliżaniu się wojska Hiszpańskiego, pod dowództwem Don Felixa de San Marco, dążącego na odsiecz Saragossie, a zarazem opuszczenie Madrytu przez króla Józefa, spowodowały zapewne odstąpienie nasze od szturmów, spowodowały, żeśmy zwycięstwo drogo krwią okupione, zostawić przymuszeni byli generałowi Palafox (1), temu nieśmiertelnemu obrońcy Saragossy! Ten generał będąc rannym pierwszego dnia zbliżenia się naszego, kazał się zanieść do owiej otworzonej bramy, która z rozkazu jego zatrzaśnięta, stała się hasłem mordczego boju, a zarazem ocalenia naówczas miasta. Saragossa powtórnie przez marszałka Moncey ściśniona, wytrzymała rok oblężenia, w gruzy zmieniona została.

(1) Don Józef Revollo de Palafox, 29 maja 1808 r., ogłoszony kapitanem generalnym Prowincji.

Przejeżdżałem tamtędy we trzy lata później, gdym ranny z Rogojskim powracał do Francji. Pałace, kościoły, klasztory, były w gruzach; napróżno szukałem owych ogrodów, domów, spacerów, kanałów i mostów, których wspaniałości zdumiewałem się niegdyś; z dawniej wielkości nic nie pozostało, prócz owój ku Francuzom nienawiści bez granic, którą, konając Hiszpanie, zamiast błogosławieństwa dzieciom przekazywali!

15 sierpnia stanęliśmy w Alagon, 16 w Mallan, 17 w Tudello. Nad Ebrem postawiono półk nasz obozem. Ustawiczne dęszce, pod tę porę jesienną zwykle padające w Hiszpanii, a do tego dokuczliwe zimno, dało nam się we znaki.

Konie ciągle stojąc w mokrému i w glinie, podostawiały grudy, my zaś w barakach czyli raczej budach, wycierpieliśmy dużo od robactwa, a szczególnie od szczurów, które nam na chwilę spocząć nie dozwalały.

Tu jakoby na nasze nieszczęście, przybyło do nas z półku Kraszińskiego sześciu, na oficerów: Stadnicki, Ranowski, Sawicki, Radłowski, Kadłubicki i Mikołajewski. Taki to był los półku naszego, iż ciągle przysyłano nam z boku oficerów, którzy nam zprzed nosa zabierali stopnie, na któreśmy, nieraz krwi naszej okupem zasłużyli. I tak: po półkowniku Konopce, przysłano nam na dowódcę Dębińskiego, po nim Stokowskiego z gwardyi Kraszińskiego, a nakoniec Kazimierza Tańskiego, któren w roku 1808 opuściwszy nasz półk w randze kapitana, w roku 1813 na półkownika powrócił. Z niższemi rangami podobnie się działo, a dla nas awansu nie było, gdyż nam nikt sprawiedliwości nie oddawał, prócz jednych

Hiszpanów, którzy się nieraz spotykali z ostrzem lanc naszych.

Generałowie St. Marco, Lamas, Versaye i Palafox, po naszym odstąpieniu od oblężenia Saragossy połączywszy się z sobą, przeciwko nam wystąpili, i około Tudelli stanowiska zajęli. Jakie było rozpołożenie i poruszenia sił wzajemnych, nie jest to celem pisma mojego. Opisane są przez generała Foy, i przez pana Rocca oficera od huzarów. Temu ostatniemu nie musiały się nasze ulany podobać, albo téż stanęły mu solą w oku; opiewając bowiem czyny swojego półku z którym składaliśmy jedną Brygadę, naszemu sprawiedliwości nie oddaje.

Pierwszych dni listopada 1808 roku, cesarz Napoleon przybywszy do Hiszpanii, objął dowództwo nad całą armią; 23 tegoż samego miesiąca nastąpiła walna bitwa pod Tudello, której skutkiem było rozbitcie armii Hiszpańskiej, 30 armat zabranych, prócz wielkiej liczby zabitych i rannych i do niewoli wziętych. Po bitwie, generał Palafox z resztkami wojska i powstańcami wrócił do Saragossy, gdzie powtórnie otoczony, rok cały oblężenia wytrzymał. Korpusy zaś pod dowództwem marszałka Lannes, i kawalerya generała Lefèvre Desnouettes, dostały rozkaz ścigania generała Castanios, umykającego przez Guadalaxara ku Madrytowi.

Po téjto bitwie pod Tudello, marszałek Lannes zwerbował do siebie naszego gromadzora Klickiego, któren wzięwszy z sobą poruczników Ojrzanowskiego i Bogusławskiego (1); uformował szwadron, z którym się wnet od naszego półku oddzielił.

(1) Do tego szwadronu dostali się potem; kapitan Rybałtowski, i Luzignan.

Od tego czasu szwadron ten pod dzielnym swoim dowódcą, który wnet potem półkownikiem został, odrębnie od nas, odbył całą kampanią Hiszpańską, i nieraz okrył się sławą.

Forsownemi marszami ścigając Castaniosa, napadaliśmy nieraz na obozy Hiszpanów, którzy zostawując czasami przy ogniskach kociołki z pokarmem; zaledwo sami unosili życie. 28 listopada znieśliśmy pod Burviedro tylną straż armii nieprzyjacielskiej, zkąd przemaszerowaliśmy do miasta Calatouiut. W mieście stanęliśmy jakkolwiek; mieszkańcy bowiem po większej części wszystko zostawiwszy w domach, poszli za swoją armią. Zaprowadzono więc warty, i przestrzegano nadużyć.

Wszakże za nadejściem piechoty Francuzkiej, cały porządek w kął poszedł. Mieszkania prywatnych i świątynie pańskie stojąc otworem, wystawione zostały na łupieztwo rozhukanego żołdactwa. Tam żołnierze odurzeni trunkiem, poprzebierani w kościelne szaty, szydząc z obrządków własnej wiary, przy pochodniach i świetle, nosili po ulicach święte naczynia napełnione winem, a obchodząc z niemi cały obóz, wyśpiewywali pieśni wszeteczne. Na wspomnienie tych zdrożności, zdzierstwa, i gwałtów, dreszcz i smutek tłoczą serce moje, do których jeżeli udziału nie miałem, to jednak świadkiem ich byłem.

I jakże naród Hiszpański nie miał mieć pobudki do tej nieprzełaganéj zemsty, którą zaprzysiągł Francuzom? Nie mając zawsze sił dostatecznych do walczenia w otwartém polu, postronnie i pokryjomu mordował ofiary winne czy niewinne, pastwiąc się niemilosiernie nad bezbronnymi. Obrzynali uszy, nosy, wyłupywali oczy, wycią-

gali wnętrzości, wyparali żyły; a pomimo tych okrucieństw, których nikt pochwalić nie może, wyznać jednak należy, iż Francuzi, bezbożnością, rozpustą i swawolą swoją wówczas zasłużyli na nie. Z Calataiut wyruszyliśmy ku Madrytowi, w czasie którego marszu, półk nasz prowadził przednią straż całej armii.

W okolicy Gwadalaxara, w bliskości Alcala o trzy mile od Madrytu, w jednej wiosce rozkwaterowano nasze dywizyę lekkiej kawaleryi, zapowiedziawszy, iż tam odbędziemy dniówkę, podczas której rozkazano nam broń i cały rynsztunek oczyścić. Nagle zatrąbiono na koni, dywizya się zebrała, a gdy z kompanii mojej brakło dwóch żołnierzy, kapitan Szulc do wściekłości rozżarty, kazał mi tych żołnierzy szukać. Napróżno przeleciawszy wieś całą, wypadłem na drugą stronę z której rozchodziły się cztery drogi, a każdą znać było, że kawalerya maszerowała. Na los więc szczęścia puściłem się jedną, i już pod wieczór dobiegłem do placówki Francuzkich huzarów. Oficer mnie upewnił, że dnia jutrzejszego zejdziemy się z półkiem pod Madrytem, gdzie Napoleon miał robić przegląd naszej kawaleryi. Jakoż nazajutrz ze wszystkich stron sypało się wojsko ku Madrytowi, przy którym i ja też maszerowałem. Pod Madrytem spotkałem półk Kraszińskiego. Żem zdybał znajomych, czas mi prędko przeszedł, a tymczasem półk mój przez Madryt po przeglądzie przemaszerował. Wszakże dano mi informacyą, że z Madrytu poszedł do Aranjués o mil 7 odległości. Ruszyłem nazajutrz w dalszą drogę, i gdy nad wieczór znów napotkałem oddziały półku Kraszińskiego, te mnie upe-

wniły, że w tój stronie mego pólku nie masz; doniosły zarazem, iż kilku z niego żołnierzy i bagaże oficerskie, równie jako i ja zbłąkane, znajdują się w ich koszarach. Tam zaprowadzony na nocleg, staropolską gościnność znalazłem. Nazajutrz zawołany byłem do marszałka Bessières; ten rozkazał mi się zatrzymać przez dzień cały; co spełniwszy, odebrałem od niego ekspedycją do marszałka Viktora. Zabrawszy z sobą żołnierzy z mego pólku, ruszyliśmy do Toledo, zkąd znów wysłany zostałem do miasta Talavera, gdzie miałem z pewnością półk zastać. Przez trzy dni maszerując krajem gdzieśmy się jeszcze mieszkańcom nie byli dali we znaki, wszędzie grzecznie przyjmowani, opatrzeni byliśmy w żywność i furaż dla koni. W Talavera, zastałem generała Milhaut z dywizją dragonów, która wybiegła na widok chorągiewek Polskich, i rozebrała pomiędzy siebie moją komendę. Mnie tyle tylko zostawili czasu, abym generałowi oddał depesze które wielce pożądane były, zawierały bowiem patenta na ordery i awanse wojskowe. Przyjęty więc i częstowany z największą uprzejmością, zabawiwszy dni kilka, umyśliłem wyruszyć celem dalszego szukania mego pólku. Przed wyjazdem, prosiłem generała Milhaut, ażeby dał rozkaz gdzie mam mego pólku szukać, i wyraził, że użyty byłem do rozwożenia ekspedycyj; co otrzymawszy w dalszą puściłem się drogę. Jadąc ku Madrytowi, spotrzełem nakoniec chorągiewki nasze; radość i obawa naprzemian mną miotaly; nie wiedziałem bowiem, jak nieobecność moja uważaną będzie. Połączywszy się z moją kompanią, weszliśmy razem do miasta, gdzie dostawszy kwaterę w pustym klasztorze po zakonnikach, konie

umieściliśmy pod wystawami. Tam się od kolegów dowiedziałem, iż kapitan Szule, zameldował półkownikowi że dezertował; dodali, iż mnie bardzo żaluje: że bowiem prawą jego ręką byłem, po mojem oddaleniu się uczuł dopiero, wiele we mnie utracił. Dészcz padał gwałtowny; wlaższy do ciemnej ciupy, rzuciłem się na ziemię i smaczno zasnąłem. Obudziwszy się nad rankiem, obaczyłem mnóstwo trumien wkoło siebie porozrzucanych, z których powyrzucane ciała zakonnic, za posłanie mi służyły.

Poszedłem zameldować się kapitanowi, i zamiast okropnej bury której się spodziewałem, przyjął mnie starzec ze łzami w oczach. Rozpytawszy się o wszystko, zaprowadził mnie do półkownika, przed którym wytłómaczono mnie, i całą winę zrzuceno na marszałków, którzy mnie za kuryera użyli. Ztamtąd udałem się do adjutanta Moszyńskiego, który mnie uściskawszy serdecznie, oświadczył, iż ledwo uprosić półkownika zdołał, że mnie dotąd za dezertera nie ogłosili i pod sąd wojenny nie oddali.

Od tój epoki kapitan Szule stał się prawdziwym ojcem dla mnie; nie tań przywiązania swojego, wszędzie wychwalał, i ciągle durzył półkownikowi głowę, aby mnie do awansu przedstawił.

Niedługo potem, dywizya nasza będąca podówczas pod dowództwem generała Lassale, ruszyła pod Ponte-Almaras ku granicy Portugalskiej. W przechodzie naszym, mieszkańcy jak zwykle umykali z domów, my zaś zajmowali ulice półkami, a kompaniami domy, które zamknięte zastając, drzwi wylamywać przychodziło, a nie-

zastawszy częstokroć szukaną żywności, gdzieindziej szukać jej musieliśmy.

Do zajętej wsi, wpadł Rogojski, obejrzał domy, i po kompanią pobiegł, a ja idąc z drugiej strony, na tych samych domach ponapisywałem N^{ra} naszej kompanii.

Gdy wnet potem przed jeden dom razem z ludźmi przyszedłem, żywe spory zaczęły się między nami; mnie broń napisane numerami, Rogojskiego rzetelna prawda, że on wprzód był i obrabiał te domy, o czém ja nie wiedziałem. Od słowa do słowa przyszło do tego, iż mój kapitan rozjuszony porwał się do pałasza na Rogojskiego, którego byłby niezawodnie porąbał, gdyby ten nie był umknął, z czego korzystając zająłem kwatery.

Po kilku marszach stanęliśmy w wiosce bezludnej, gdzie znaleźliśmy trzody świń wypasionych żołądźmi w pobliskich lasach dębowych, i tak tłustych, iż gdy przy braku chleba, soli i wina, najedli się ich mięsem żołnierze, dyaryja w obozie naszym panować zaczęła. Lecz wkrótce ztamtąd poprowadził nas dzielny nasz dowódca Las-sale, pod Ponte-Almaras. Tam dopiero połączyliśmy się po raz pierwszy z 4, 7, i 9 półkiem piechoty xięstwa Warszawskiego. Marszałek Lefèvre, pod którego rozkazami byliśmy, korzystając z mocnej pozycji jaką mieliśmy na wysokich nadbrzeżach Tagu, na drugiej stronie którego stało w dolinie wojsko Hiszpańskie, wysłał generała Sebastianiego z dywizją, ażeby o mil kilka poniżej przeszedłszy rzekę, zajął na umówioną godzinę tył nieprzyjacielowi. Tymczasem gdy czwarty półk piechoty Polskiej, dostał rozkaz przejścia mostu kamiennego, w dwóch miejscach przeciętego przez Hiszpanów, Fran-

ciszek Młokosiewicz na czele I^{ej} kompanii grenadyerów tegoż półku, przeszedł most rzeczony, pod kartaczowym ogniem; za nim przeszła reszta piechoty, która uformowała linię bojową, rzuciła się na nieprzyjacielskie armaty.

Półk nasz przez ten czas przebywszy rzekę wpływ, i z boku uderzywszy na Hiszpanów, rozstrzygnął wygraną. Z placu bitwy, noga jedna nieprzyjacielska nie byłaby uszła, gdyby generał Sebastiani, trudną przeprawą zatrzymany wgórah, nie był się spóźnił o 24 godzin. Dwadzieścia kilka armat, trzy tysiące niewolnika i cały obóz nieprzyjacielski, dostały nam się w zdobyczy.

Dnia czwartego po bitwie pod Ponte-Almaras, pędząc nieprzyjaciela, dobiegliśmy aż do miasta Trahillo w Portugalii. Przecięci przez Anglików, przez kilka tygodni żadnej komunikacji z wielką armią nie mieliśmy. Przymuszeni przedziierać się przez góry Leonu, gdzieśmy dla artylerji naszej drogę robić musieli, dostaliśmy się nakoniec do Avilla. Tam dopiero dowiedzieliśmy się, iż cesarz Napoleon wypowiedział wojnę Austrii, już opuścił Hiszpanię. Z Avilla ruszyliśmy na Escorial, Madryt, do Toledo.

W témto przejściu, odwołanym został marszałek Lefèvre do Francji, a generał Sebastiani objął komendę czwartego korpusu. 20 marca 1809 r., korpus nasz wyruszył z Toledo ku Sierra-Morena. Piechota i bateria artylerji stanęły na noc we wsi Morra. Stanowisko nasze było o milę ztamtąd we wsi Orias pod wysoką górą, przez którą często posuwaliśmy się do wsi Jovenes i tam nakoniec pewnego dnia na nocleg stanęli.

Była to pozycja dla kawalerji ze wszech miar niebezpieczna, albowiem jedna droga prowadziła w zygzak przez górę, z której ani na prawo, gdyż niebotyczne wisiały skały nad głową, ani na lewo, bo przepaść pod nogami była, kroku w bok zrobić nie można było, a jednak tą jedyną drogą pozostawała nam rejterada, na przypadek napadu nieprzyjaciela.

Wieczór rozlokowano półk po zajezdnych oberżach kompaniami. Piątą kompanią postawiono pod murem kościoła. Na każdej zaś drodze od wsi idącej, porozstawiano pikiety, kantynierki, bagaże, furgon półkownika rozkwaterowano, jak gdyby o nieprzyjaciela ani słyhać było.

Służba z kolei wypadła na mojego kapitana Szulca, który w tój mierze gorliwością celował.

Noc była cicha; placówki przy objazdach rontu meldowały, że psy ciągle czekały w przyległych kortychach czyli folwarkach, że słyhać jakieś poruszenie i jakoby tentent koni.

To wszystko zaraportowano półkownikowi, ale ten na to żadnej nie zwrócił uwagi, utrzymując, że nieprzyjaciel jest jeszcze o parę dni marszu nad rzeką Gvadiana. Po północy mgła okryła doliny, a skoro rozwidniało, po otrąbieniu pobudki, dano znak do rozkulbaczenia i chędożenia koni. Gdy tём zajęli się żołnierze, a oficerowie po kwaterach wygodnie odpoczywali, pikiety dały ognia, placówki spędzone zostały, a piątą kompania pędem za wieś wyskoczyła. Już się ta przy gestych wystrzałach spotykała, nimeśmy stanęli na placu przy wnijsciu do wsi,

a uformowane bagaże poza frontem, drogą do Orias w górę ruszyły. Wtём nadjechał przed półk półkownik Konopka, szef Ruttie i Kostanecki; mgła się tём podniosła, i ujrzelśmy frontem uszykowaną liczną nieprzyjacielską kawalerję, z dwiema baterjami lekkiej artylerji. Starszyzna postanowiła rejteradę: zakomenderowano za broń, trzema wlewo zajdź, naprzód, stępo marsz!

Kompania więc 8^{ma} w której ja byłem jeszcze wachmi-strzem szefem, szła na czele kolumny, przed którą półkownik z szefem Ruttie maszerował. Z tyłu za nami nieprzyjaciel silnie nacierał, zrabano nam oficera od warty Stawiarskiego, padło już znacznie żołnierzy, tylna jednak straż nasza silny ciągle dawała odpór.

Zaledwo uszliśmy staje pod górę, gdyśmy ujrzeni nasze bagaże w czwał ku nam nazad umykające, a za nami z dobytymi pałaszami sławny półk karabinierów Hiszpańskich Reales zwanych, któren całą nam drogę jak była szeroką zastąpił, na bok zaś, jakem wyżej powiedział, zjechać nie było podobna. Otoczeni zewsząd, mieliśmy bowiem dwa półki kawalerji przed sobą, a pięć z tyłu; zdawało się Hiszpanom, iż z tój przeprawy noga nasza nie wyjdzie, i półk bez wystrzału poddać się przymuszonym będzie. Lecz nie tak łatwa była z nami sprawa.

Półk zatrzymał się na chwilę, a półkownik dobywszy pałasza, „naprzód dzieci”, zawołał; wzięwszy zatём lance do ataku, krzyknęliśmy hura! i uderzyliśmy na kolumny Hiszpańskie. Przewaga w tój chwili była na naszą stronę, bo pałasz jakkolwiek długi, naprzeciw dzidy słabą był tylko bronią. Padli oficerowie Hiszpańscy na czele kolumny będący. Kłóiliśmy i rąbali następnych, a półk posu-

wając się za nami, popychał nas naprzód. Każdy krzyczał, a jeden drugiemu pomocy nieść nie mógł. Bój więc trwał już prawie w miejscu, trupy i ranni zawalali drogę, nieprzyjaciel ściśniony obrócić się nie był w stanie; tym sposobem przez czas niejaki, ani oni uciekać, ani my iść naprzód nie mogliśmy. Walka zatem toczyła się między frontami dwóch kolumn.

Hiszpanie spostrzegli iż bój nie ustaje, rozumiejąc, że siły nasze daleko mocniejsze jak były w istocie, zaczęli się wahać; tylna straż postrachem przejęta, zaczęła konie odwracać i uciekać, przednia zaś słaby nam tylko już opór dając, z koni złażąc, lub się na góry drapała, lub się w przepaść rzucała. Po raz drugi krzyknęliśmy hura, a dobywszy sił ostatka, z wściekłością rzuciliśmy się na nieprzyjaciela; droga też stała się wolniejszą, najprzód kłosem, a później ruszyliśmy galopem.

Wkrótce potem półkownik Konopka z szefem Ruttie i z kilkunastu ułanami, w którejto liczbie i ja byłem, tak się zapędzili, żeśmy wnet półk nasz z oczów stracili. Z przykrój zjeżdżającemu góry półkownikowi spadła z głowy czapka; pierwszy za nim dojeżdżając, pomimo że z góry gęste sypały się strzały, zsiadłem z konia, pochwyciłem czapkę, lecz wsiadającemu napowrót kulbaka mi się przekreśliła. Niebezpieczeństwo dodało zręczności; skoczywszy zatem na mojego rumaka, dogałem półkownika już na dole. Oddając mu czapkę spostrzegłem, że mu łzy z oczów płynęły, i kiedym mu przedstawiał iż niebezpieczeństwo minęło, a półk ma rejteradę otwartą: „Wszystko straciłem” odpowiedział z rozczuleniem.

Wtém spostrzegłem przed nami, jak karabinier Hiszpański trzyma drugiemu konia, podczas gdy siodło upina; skoczyłem więc do niego, pewny, że go w niewolę wezmę, lecz on dosiadłszy konia, „*Adios camarada*” do kolegi zawołał, i pędem wiatru ruszył do wsi Orias. Jużem tuż za nim dojeżdżał krzycząc na niego aby się poddał, gdy pod samą wsią, spojrzawszy z pagórka, zobaczyłem mnóstwo nieprzyjacielskiej kawaleryi. Zatrzymawszy się na chwilę, zsiadłem z konia, a poprawiwszy moją kulbakę, ujrzałem, jak oddział naszych z kilkunastu koni złożony, w największym pędzie przez pola dąży ku Mora. Obróciwszy się wprawo, przebiegłem im drogę, a przejeżdżającemu przez pola, łatwo mi było dostrzedz, jak zdaleka półk się nasz formował, jak nieprzyjaciel za nim zbiegając z gór, równie front bojowy stawiał; nie pojmowałem przeto, dlaczego ten oddział z którym co tylko byłem się złączył, a w którym się znajdował półkownik Konopka, szef Ruttie z adjutantami, podoficerowie: Krobicki, Kazaban, i kilkunastu żołnierzy, tak szybko się z placu bitwy oddalają. Gdym się zatem zbliżył do półkownika rzekł, że półk ocalał, bo uszykowany na równinach nie da sobie krzywdy zrobić, Konopka srogo na mnie spojrział, a nie wyrzekłszy słowa, dalej galopował. Gdyśmy się już do Mora zbliżali, podjechawszy powtórnie do półkownika i pokazując na kolumny poza wsią szykujące się do boju, zapytałem, czy to w samej rzeczy nasi. Na moje zapytanie, zatrzymał się na chwilę, i rozkazał mi wziąć dwóch ludzi, dla zrobienia rekonesansu. Ruszyłem więc słowa nie wyrzekłszy, a obejrzawszy się po chwili, ujrzałem półkownika z oddziałem dążącego nie za mną, lecz kierunkiem ku Toledo. Wtém napadłem na chłopca, który

chroniąc się od nas położył się na ziemi; od tego dowiedziawszy się że w Mora są nasi, wołając dałem znak półkownikowi; ten gdy z nami połączył się, wpadliśmy do wsi Mora, za którą na wzgórzach stało wojsko nasze już wшыku bojowym uformowane. Była to dywizya generała Valence, pod którego wtedy zostawaliśmy rozkazami. Półkownik z szefem zsiadłszy za wsią zaraz z koni, długo się przypatrywali przez perspektywę, czy wracającego nie ujrzą półku: zawoławszy mnie potem, na groźne zapytanie półkownika: „gdzieś półk widział?” odpowiedziałem, że przebiegając od wsi Orias widziałem wyraźnie, jak się półk na równinach wшыku porządnym cofał, chociaż nieprzyjaciel nacierał, i że głową rękę, że jest ocalonym. Długo jeszcze półkownik z szefem pocichu rozmawiali, poczem siedliśmy znowu na koń, i napotkali generała Valence, którego pędząc ku nam zawołał: „gdzie półk?” na co półkownik wskazując na nas: „tyle tylko, rzekł stłumionym głosem, z półku naszego ocalało.” Stary generał Valence, pod którego rozkazami byliśmy, i którego nas kochał jak ojciec dzieci, tak wielką stratą przejęty, z rozpaczą zaczął załamywać ręce, a kiedy sam potem po polach jeździł z półkownikiem, zdawa widać było, jakie mu gorzkie czynił wyrzuty.

Skorośmy z koni zsiadli, wzięwszy Kazabana na bok zapytałem go, aby mi odpowiedział z otwartością, dlaczego półkownik nasz w niebezpieczeństwie zawsze tak dzielny i przytomny, dzisiaj głowę zupełnie stracił, zwłaszcza gdy półk ocalony, na co przysiędz mogę. Kazaban westchnąwszy głęboko, ścisnął mnie za rękę i rzekł: „że chociażby była prawda że półk ocalony, strata nasza jest nieodwetowana; straciliśmy bowiem godło półku nasze-

go, godło jeszcze za rewolucyi Francuzkiej we Włoszech półkowi dane, godło, które Napoleon zostawszy cesarzem chciał zamienić, a półk na to przystać nie chciał, o co się nawet mocno uraził: a tém godłem są nasze cztery sztandary.” Co mówisz! krzyknąłem, w piekle chyba były, kiedyśmy je pod Madrytem w zakładzie zostawili.” „Tak; odpowiedział, tam zostały z futerałami proporce, a chorągwie ja mojemi rękoma zapakowałem do mantelzaka, którego w największym sekrecie w furgonie półkownika był zachowany; furgon ten, dodał, pozostał po tamtej stronie góry, i pewnie się dostał w ręce nieprzyjaciela.”

Ostłupiałem na to opowiadanie, znałem skutki wynikające z tego wypadku. W tym bowiem razie półk tracił swoje istnienie, a my wszyscy pozostali przy życiu, prawie do wszelkich nagród najbardziej zasłużonych. Rozbiórając tę smutną okoliczność, uważaliśmy, jak generał nie przestawał załamywać rąk, a półkownik z pokorną miną przed nim się tłómaczył. Tak upłynęło godzin cztery; wtém spostrzegliśmy zbliżającą się kurzawę, wnet potem przypadł do nas nasz oficer Stadnicki z doniesieniem, że półk maszeruje, i z zapytaniem, w którym miejscu ma stanąć. Radość starego generała była podobna do szalu; gdy bowiem spostrzegł nasze chorągiewki, rozplakał się jak dziecko, a my z nim z radości wszyscy szlochali. Wtém się półk nasz pokazał prowadzony przez dzielnego Kostaneckiego, i wskazane stanowisko przy kościele zajął.

Skoro dywizya generała Valence, zszedłszy z pozycyi bojowej, zabrała się ku dalszemu pochodowi, ujrzeliśmy kawaleryę idącą od miasta Toledo z tyłu, którą z po-

czątku za nieprzyjacielską wzięto; pokazało się wnet iż to był oddział złożony z rozsypanych żołnierzy półku naszego. Półkownik zwoławszy do siebie korpus oficerów, kazał nam wystąpić dla zrobienia lustracyi po kompaniach, i obliczenia strat poniesionych; kompania 5^{ta} i 8^{ma} z której pierwsza tylną, a druga przednią straż utrzymywała, najwięcej ludzi straciły. Straciliśmy kapitanów Stokowskiego i Szulca w niewolę wziętych, podporucznika Stawiarskiego, sztabowego lekarza Gryła, poległych na placu bitwy, i do dwóchset ludzi w zabitych, rannych, i jeńcach. Wszyscy oficerowie postradali bagaże, i ów nieszczęśliwy furgon półkownika dostał się w ręce nieprzyjacielskie; umknął on był wprawdzie z początku z niebezpieczeństwa, lecz przewrócony i obojętnie uważany przez przejeżdżających, nikt bowiem się nie domyślał co zawierał w sobie, dobrowolnie nieprzyjacielowi był zostawionym. Jeżeli zatem zpod bitwy pod Jovenes półk nasz ocalał, winniśmy to jedynie dzielnemu Kostanekiemu, którego otoczony przez 7 półków kawalerji, z lancą w ręku przedarł się przez nieprzyjaciół zastępy, i honor półku naszego ocalił. Jeżeli zaś sztandary utracili, nie nasza w tym wina, lecz tych, którzy je przed nami ukrywali.

Z tego więc powodu półk nasz utracił za karę nazwanie 1^{go} półku ułanów, rozebrany jednak nie został; dano mu bowiem później 7^{my} N^{er} szwoleżerów Francuzkich.

Półkownik Konopka zebranych oficerom z rozrzewnieniem tłumaczył się, jak na czele przeboju będąc uniesiony rącznością konia, mimowolnie odłączył się od półku; wychwalał męstwo każdego z osobna, z czego i mnie się

dostało z kolei; oświadczył mi bowiem półkownik, iż dla mnie szczególniej ma wiele osobistych obowiązków, i że postara się abym na oficera awansował. Nazajutrz dywizya generała Valence, wyruszyła za korpusem generała Sebastianiego dążącym ku rzęce Gvadiana.

Dnia 27 marca 1809 roku, pod Ciudad-Real, uszykowany nieprzyjaciel na górze, w bardzo mocnej pozycji, rzucił dwie kolumny piechoty, ku obronie mostu na rzęce Gvadiana. Baterje naszej konnej artylerji odparły te dwie kolumny od mostu, przez którego ruszyliśmy kłosem, a za nami półk Holenderskich huzarów. Skorośmy na drugim brzegu rzeki stanęli, generał Sebastiani przyjechawszy przed front naszego półku, sam zakomenderował: „formuj szwadrony”; a następnie „rozwiń kolumnę”; co gdy skuteczniono, dobył szabli i w galopie prowadził nas na nieprzyjacielską piechotę; ta dawszy ognia przewróconą została, my zaś przebiegłszy przez Ciudad Real, wzięliśmy tył nieprzyjacielowi. Hiszpanie strwożeni słabo bronili pozycji, z kąd generalnym atakiem do rejterady zmuszeni zostali. Korzystając z popłochu, wnet dowiedliśmy jeżdżąc po karkach Hiszpańskich, iż półk nasz *Los Infernos nazwany*, a o którym doniosły im rozkazy dzienne iż przestał istnieć, istnieje; a jeżeli sztandary utracił, jednak lance jeszcze zachował. Rozbita nieprzyjacielska piechota utraciła artylerję, pociąg i bagaże, kawalerja zaś, zamiast zasłaniać rejteradę własnej armii, pierzechnęła z placu, i dopiero pod Santa-Cruz o milę od wioski Alvizelio, od której poczynają się wąwozy gór Sierra-Morena, stawiała nam czoło.

Za wsią Santa-Cruz na równinach, kawalerja Hiszpańska uszykowana frontem, czekała na nas. Po drodze umykały furgony, wozy, piechota, artylerja, kassa, bagaże.

Po stronach pospólstwo pieszo i na mułach, niewiasty i dzieci życie unosiły w niebotyczne góry, których wierzchołki ginąc w obłokach, zapowiadać się zdawały, iż przebyć ich niepodobna. Uszykowani w linii bojowej, nieociągając się na korpus z tyłu dość opodal maszerujący, uderzyliśmy na nieprzyjaciela.

Pękły szyki kawalerii która w rozsypce ścigana aż do samych wąwozów za wieś Alvizelio, wszystko to utraciła, co w góry ująć nie zdołało; kassa wojskowa w ręce nam się dostała, i jakkolwiek nikt z nas grosza przy duszy nie miał, w całości generałowi korpuśnemu oddana. We wsi Alvizelio stojąc dni kilka, przedstawiono do ozdób wojskowych tych, co się w ostatniej odznaczili bitwie; w których liczbie z Rogojskim razem umieszczeni, nie jednak nie dostaliśmy. Półkownik tylko od Hollendrów, Vinot, ranny od postrzału w ataku na piechotę, awansował na generała.

Po tej wyprawie korpus nasz wrócił na stanowiska do miasta Toledo, a jakkolwiek w tymże samym czasie korpus marszałka Viktora pod Merida stanowcze odniósł zwycięstwo, które mogło nam ułatwić zajęcie całej Andaluzji, gdy jednak wyprawy marszałków Ney'a i Sul-tana nie powiodły się, i nasze korpusy z odniesionych zwycięstw korzystać nie mogły.

Półk nasz dla zreorganizowania się po stratach poniesionych w bitwach pod Jovenes i Ciudad-Real, postawiono w mieście Toledo, z dywizją Polskiej piechoty. Tam Zawadzki (1) w pojedynku zabił Moszyńskiego, oficera wielkich nadziei, powszechnie żalowanego. Po

(1) Zawadzki umarł w roku 1823 na rewii pod Brześciem Litewskim, zabity od konia.

wypoczynku przez czas niejaki, w którym mieliśmy sposobność wejść w stosunki przyjacielskie z półkami kawalerii Francuzkiej, wyprawiając sobie nawzajem uczyć i bankiety, piechota Polska zajęła wieś Mancenares, a nasza brygada, to jest półk huzarów Holenderskich z naszym półkiem, postawiono we wsi Valdepenias, na drodze prowadzącej do Sierra-Morena.

Wieś Valdepenias w prowincyi Mancyi, owiej ojczyźnie Donquichota, wśród obszernej równiny położona, otoczona nieprzeżranemi winnicami, obfitująca w pszenicę i jęczmień, rozlegle i porządnie zabudowana, tak wielkie miała zapasy żywności i wina, że nasze półki tam przez kilka miesięcy konsystujące, chociaż każdemu wolno było zabiierać co się podoba, bo żadnego nie było we wsi mieszkańca, ciągle do zbytku mieli wszystkiego.

Tak wielkie powtarzam były składy wina, czyli w każdym domu zapasy, że jak upewniał Majewski adjutant podoficer, tamecznym komendantem placu naznaczony, przez czas naszego tam pobytu, wydał on dla armii do jedenastu milionów butelek wina. Do tego jednak stopnia nietylko nie oszczędzano ale zbytkowano, że konie nawet myto winem. Do samego końca naszego pobytu w Valdepenias, nie zabrakło nam tego wybornego napoju, którego nie upajał żołnierz, ale krzepił siły utrudzonego ustawiczną pracą. Oprócz straży z każdej strony koniecznej, ustawicznych patrolów, co noc prawie pod broń występować musieliśmy. Nieraz wyparowywani ze stanowisk naszych, zdobywaliśmy one na nowo jak ojczyste siedlisko; kiedy bowiem skazani byliśmy na nieskończoną wojnę, rajem dla nas były miejsca, gdzieśmy przynajmniej co jeść i co pić mieli.

Obszerny dom we wsi mieścił całą moją kompanię; tam wybrani kucharze z niefrontowych żołnierzy, ciągle jeść gotowali, ciągle stoły były nakryte, w żłobach jeźmieni zasypany i w wiadrach wino gotowe, kował czekał ze zrobioną podkową, rymarz z szpagatem i szydłem.

Wracający żołnierz z warty, patrolu, komenderówki, natychmiast mógł się posilić; częstokroć bowiem chwila spoczynku była krótka, a zaledwo zsiadłszy z konia, wnet na niego na powrót wsiadać musiał. Nieprzewidując końca naszej kampanii, karmiono wieprze na szynki i kielbasy. Gospodarny Majewski urządził nam gorzelnię, gdzieśmy wódkę pędzili z wina, a kolega Skarzyński sporządzał doskonale salcesony i kielbasy. Jedliśmy na srebrze, którego nam nie zbywało. Słowem, wciągnęliśmy się w taki porządek życia, niemając dnia wolnego od bójki albo służby, że jeżeli się kiedy dzień taki zdarzył, to nam się nudnym wydawał. Po każdej bowiem utarczce następowały wesole uczty, żarty, i śmiech z wypadków, z których szczęśliwy kto unosił życie!

W Valdepenias półkownik Konopka odjechał na czas niejaki do Francyi, podpółkownik zaś Ruttié wysłuchawszy nas po kolei rachunków z odmian kompanijnych, i z pobiéranego dla nich żołdu, tak jak spowiedzi w jubileusz, wkrótce potem oddalił się na dowódcę półku Francuzkiego strzelców konnych. Kostanecki szef, złożony chorobą leżał pod Madrytem; oficerów i podoficerów wysłano do Francyi dla formowania oddziałów, moja więc kompania przez długi czas, żadnego niemając oficera, przeze mnie jedynie administrowaną i komendowaną była.

Od miesiąca kwietnia do lipca, rozkoszną że tak powiem prowadziliśmy kampanią w Valdepenias. Żołnierz z natury waleczny, gardził niebezpieczeństwem i trudami, nie myślał o nagrodach, bo ich nikomu nie dawano, nie suszył sobie głowy nad tém co jutro będzie, nie zastanawiał się nad przyczynami wojny którą prowadził, nad powodem owych poświęceń i ofiar, a jeżeli kiedy westchnął za rodzinną strzechą, w winie Hiszpańskiem topił smutne wspomnienie. Na początku miesiąca lipca stanowiska nasze w Valdepenias opuściliśmy, złózowani przez półki Francuzkie. Na nowych posterunkach na ciągły harc wystawieni, otoczeni nieprzyjacielem, gdyśmy się z przodu pilnowali, nieraz z tyłu napadnięci, nie wiedzieliśmy często z której strony nas biéda czekała. W tymże samym czasie, smutny wypadek dotknął półk dragonów Francuzkich. Nad samym rankiem, wystąpiwszy na obraném miejscu do chędożenia koni, zaledwo takowe rozkulbaczyli, gdy ze wszech stron przez Hiszpanów napadnięci, w pień wyrznięci zostali. Podobny los spotkał oddział Polskiej piechoty, złożony z dwudziestu kilku rannych i chorych, którzy wyszedłszy z lazaretu w Toledo, do półku dążyli. Czyli zbłądziwszy, czyli téż szukając lepszych kwater, zboczyli z traktu, i stanęli na noc we wsi Villaferrinando w samych górach.

Tam rozkwaterowani, w nocy rozbrojeni przez mieszkańców, na plac sprowadzeni, gdzie poobwijani w parki i słomę, zmaczane w oliwie, spaleni zostali. Jeszcześmy tych nieszczęśliwych ofiar widzieli dogorywające członki, gdyśmy uwiadomieni przez jednego zbiegłego żołnierza ruszyli im na ratunek.

Niestety za późno! Obstąpiona wieś do szczytu spalona została, a mieszkańcy bez różnicy płci i wieku wyklóci.

20 lipca 1809 roku, generał Angielski Arthur Wellesley (Wellington) w 5,000 Anglików, połączywszy się z armią Hiszpańską będącą pod dowództwem generała Cuesta, złożoną ze 20,000 i Portugalską ze 38,000 wojska, postąpił do miasta Talavera.

Dnia 26 tegoż miesiąca, gdy marszałek Victor połączył się z korpusem generała Sebastianiego, pod dowództwem samego Józefa Bonapartego króla Hiszpańskiego, we 47,000 wojska ruszyliśmy także ku Talawerze.

W wąwozach d'Alcabon, w bliskości Torrijos, dziesiąty półk huzarów w awangardzie będący, rozbił półk dragonów Hiszpańskich *Villa-Viciosa*, poczem generał Cuesta cofnął się przez małą rzeczkę l'Arbecha zwaną, za którą las dębowy osadził strzelcami Irlandzkiemi. Nadsięgnęła nasza armia, w las posłano wołyżerów, i tam rżęsiły rozpoczął się ogień.

Lekka nasza kawalerya, a osobno dragony z artyleryą konną, przeszły rzeczoną rzeczkę około piątęj z południa, i postąpiliśmy naprzód, piechota zaś drogą ku miastu zajęła oliwne ogrody.

W poruszeniu naszym płaszczyną, pomiędzy lasem na prawo, a ogrodami na lewo, do rzeki Tagus przypierałkami, nad którą miasto Talavera jest położone, żadnej nie znaleźliśmy przeszkody. Dopiero gdy nad zachodem słońca zbliżyli się do prawego skrzydła nieprzyjacielskiego, piechota Hiszpańska obok licznej artyleryi przypuściwszy nas na strzał karabinowy, przywitała rżęsiwym ogniem, i niemały nieporządek w massach naszych spra-

wiała. Ale wkrótce wskazane stanowiska kaźden w ciichości największej i w porządku zajął.

Już na naszym lewym skrzydle coraz to bardziej ogień słabiał, gdy na prawem, w lesie, po wyparciu bagnetem strzelców Irlandzkich, zawzięty bój do późnej trwał nocy. Piechota nieprzyjacielska zajmowała wzgórza położone naprzeciwko śpiczastej góry, podobnej do kopca czubatego, prawe skrzydło opierała o miasto Talavera, lewem dotykała dawnego i zupełnie wyschłego koryta rzeki, za którym sterczało pasmo gór skalistych.

Takowej pozycyi zdobycie stanowiło wygraną bitwę.

Nastąpiła noc, kaźden czuwał, bo stał w oczach nieprzyjaciela. Przytęm niedostatek żywności i furażu, silnie czuć się nam dawał. Chleba nie mieliśmy wcale, a za butelkę wina Valdepenias, płaciliśmy i to za wielką łaską, po lujdorze.

Ścierń po pożętem zbożu, był jedynym furażem dla naszych koni. Po głodnej, chłodnej i bezsennęj nocy, pięrsze promienie słońca dzień pogodny nam oznajmiły. Kawalerya pociągnęła płaszczyną na nasze prawe skrzydło. W korycie rzeki opartęm o skaliste góry, postawiono dwa półki strzelców konnych, obok kilkudziesiąt sztuk armat wymierzonych naprzeciwko owego kopca, będącego kluczem nieprzyjacielskiej pozycyi; dalej stał nasz półk mający na swoim lewym skrzydle artyleryą konną, złożoną z 50 sztuk armat, w tyle lekka i ciężka kawalerya. Piechota 4⁵⁰ korpusu na lewo w ogrodach pod miastem. Środek był zajęty przez 1^{sz}y korpus marszałka Victora, w rezerwie zaś korpus marszałka Jourdan, czyli załoga Madrytu. Rzuciła się dywizya piechoty na zdobycie bagnetem owego kopca, lecz przez na ziemi ukry-

tą piechotę Angielską rzesistym ogniem i kartaczami rozbita, straciwszy generała i wielką liczbę wzabitych i rannych, do odwrotu przymuszona została. Odslonięte tym sposobem prawe skrzydło czwartego korpusu, mocno ucierpiało od strzałów artylerji Angielskiej, lewe również postąpiwszy pod mury miasta Talavera, morderczą bójkę wytrzymałszy cofnąć się musiało. Gdy nadzwyczajny upał zaczął okropnie dokuczać, a obie strony już znaczne poniosły straty wzabitych i rannych, strzały ręcznej broni i armatnie powoli ustawać zaczęły; nastąpiła przerwa ognia, cisza, i jakby z umowy zawieszenie broni. Piechota broń w kozły złożyła, kawalerya z koni zsiadła, pozbiérano rannych z placu bitwy. Król Józef obejrawszy osobiście pozycją nieprzyjacielską, postanowił zaniechać ataku na punkt główny, to jest ów kopiec, który jak opisuje w dziele swoim p. de Rocca, w nocy i zrana kilkakrotnie był atakowany siłami niestosownemi, bo począwszy od batalionu, stopniowo aż do dywizji; czego nie widząc własnymi oczyma, w innéj bowiem byłem stronie, zaręczyć nie mogę.

W téj przerwie bitwy, czyli wypoczynku, Angielska i Portugalska kawalerya napadłszy niespodzianie na 28 półk piechoty Francuzkiej, prawie cały wysiekła. Z półku tego saper unosząc wrękę kukówkę od sztandaru, ścigany przez dwóch huzarów Portugalskich, broniąc się toporem, kilkanaście razy ranny, dostał się nakoniec w szeregi 4^{go} półku piechoty Polskiej, przed frontem którego, obydwóch wściekłych huzarów zakłóto.

Niemogąc tak mocnej nieprzyjacielskiej pozycji bez wielkich strat zdobyć, postanowiono ją dwiema dywizjami piechoty obejść, czyli okrążyć. Armia stanęła pod

bronią, a morderczy ogień na całej linii rozpoczął się na nowo. Anglicy zapobiegając skutkom ewolucji dwóch naszych dywizyj piechoty, wysłali kawaleryą do ataku, z której półk 23 dragonów Angielskich uderzywszy na półki 10 i 26 strzelców konnych Francuzkich, stojące w wyschlém korycie rzeki, pomimo, że nasza piechota nie oszczędzała ognia z ręcznej broni, obydwie te półki rozbił; uniesiony potem czy zapalem, czy twardemi końmi w pyskach, wpadł tém korytem aż w tył naszej rezerwie, gdzie w bagażach, wozach, kantynierkach i koniach powodowych, wielkie zrobił zamieszanie. Spostrzegłszy to wódz Angielski, poruszył masą całej kawaleryi naprzeciwko naszej stojącej. Marszałek Victor przyjechawszy przed nasz półk, „Polacy! naprzód” zawołał, a kapitan Huppert dowódca półku, zakomenderowawszy trzema na prawo, naprzód marsz! marsz! W mgnieniu oka kawalerya Angielska straciła szyk bojowy, i zniesioną została. W kilku minutach, w części wykłóta, w części rozbrojona, śmiało rzec można, że już jéj nie było.

P. de Rocca nie raczył w swoim dziele o tém zdarzeniu ani wzmianki uczynić. Zniszczeniem jednak zamachu nieprzyjacielskiego, wstrzymaniem operacji ogromnej masy kawaleryi, na całej linii bojowej przedsięwziętej, jeżeliśmy nierozstrzygnęli losu bitwy dnia tego, możem jednak śmiało powiedzieć, żeśmy Anglikom wydarli zwycięstwo.

Dzień się już miał ku końcowi, z tego powodu zaniechano dalszych obrotów na całej linii, a gdy nasza artylerya konna rzesistym ogniem zmusiła Anglików do odwrotu, bitwa skończyła się na tém, że ani jedna, ani druga strona, do wygranej rościć sobie prawa nie mogła.

W nocy stojąc ciągle pod bronią, usłyszeliśmy że nasza artylerya schodzi z pozycyi, a skoro świtać zaczęło, poszła za nią ciężka kawalerya i my na końcu. W odwrocie naszym, przechodziliśmy przez ów las dębowy, gdzie mnóstwo leżało trupa, i rannych strzelców Irlandzkich; ci ostatni, pokazując nam szkaplerze na znak że katolicy, o ratunek wołali!

Pan de Rocca twierdzi, żeśmy pod Talavera stracili czyli porzucili 20 armat. Pytam gdzie i dlaczego? kiedy, jak sam powiada, nieprzyjaciel z pozycyi nie schodził za nami, spodziewając się że los bitwy do dnia następnego odłożony; a dnia tegoż obaczywszy żeśmy się cofnęli, i dowiedziawszy o zbliżaniu się korpusów marszałków Ney'a i Mortiego od Placencyi ciągnących, opuścił swoją pozycyę i w tył się cofnął.

Strata z naszej strony do 10,000 ludzi wynosiła, według zaś raportów Angielskich, nieprzyjaciel stracił 6,616 ludzi.

Korpus marszałka Victora, został się nad rzeczką L'Arbechą, król Józef ruszył ku obronie swojej stolicy, do której mieszkańcy byli wpuścili generała Wilson; czwarty zaś korpus forsownemi marszami dążył do miasta Toledo, gdzie 1,500 Polskiej piechoty, dzielny odpór dawało generałowi Hiszpańskiemu Venegas.

Za zbliżeniem się korpusu naszego, Hiszpanie odstąpili od miasta Toledo, a 11 sierpnia pod Almonacid stoczyliśmy bitwę. Wieś Almonacid jest położona na pochyłości pasma gór niezbyt wysokich, które Hiszpanie obsadzili piechotą, również jak śpiczastą skalistą górę, leżącą na ich lewem skrzydle. Kawalerya na równinach pod górami stanęła, artylerya obrała sobie dominującą

pozycyą. Korpus nasz rozwinął się na polach, dojrzałem zbożem okrytych.

Gdy nasz półk formujący awangardę korpusu, spędził nieprzyjacielskich flankierów, dywizya piechoty Polskiej księstwa Warszawskiego, wysłaną została na zdobycie śpiczastej góry, co się trudniejszym pokazało, jak opanowanie owego sterczącego kopca pod Talavera; tu bowiem góra cała najeżona kamieniami, poza którymi ukryci Hiszpanie, srodze naszych razili. Piechota Polska w przechodzie przez szeroką równinę, napadnięta została przez Hiszpańską kawaleryą; ta wielkie straty poniosszy, do odwrotu przymuszona została. Poczem piechota doszedłszy do stóp śpiczastej góry, zaczęła się na nią drapać. Z początku ani wystrzałów słyhać, ani nieprzyjaciela widać nie było; już nawet sądzono, iż ta pozycya wcale nie jest obsadzona, gdy naszych gradem kul obsypano zewsząd. Tu zginął waleczny pułkownik Sobolewski na czele pułku swojego, przy nim większa część oficerów i kilkuset żołnierzy z jego pułku. Generał Sebastiani, któren na linii bojowej czekał na wzięcie tak ważnego stanowiska, spostrzegłszy jak drogo okupionem będzie, posłał trzech adjutantów z rozkazem aby dywizya w tył się cofnęła; z tych dwóch zginęło, trzeci utraciwszy konia, przybiegł piechotą na górę, już wtedy, gdy Polacy zdobywszy pozycyą z bagnetem w ręku, mścili się za poniesione straty.

Znał generał Sebastiani, całą ważność owej góry, będącej kluczem całej pozycyi, między którą a owym kopcem czubatym pod Talavera, ta tylko zachodziła różnica, iż ten był na lewem, a góra pod Almonacid na prawem skrzydle nieprzyjaciela, że na kopiec, dla jego po-

chyłości, można było zatoczyć armaty, stroma zaś góra, najeżona skałami, strzelcami tylko osadzoną być mogła.

Skoro tylko punkt tak ważny, walecznością bezprzykładną zdobytym został, rozkazano nam rzucić się w prawo na kawaleryą nieprzyjacielską, reszta zaś korpusu ruszyła do wsi Almonacid. Dywizya Polska, chociaż wiele ucierpiała, zszedłszy ze zdobytej pozycji, rzuciła się w pogoń za uciekającą Hiszpańską piechotą, a półk nasz uderzywszy na kawaleryą, odłączył ją od piechoty i do ucieczki zmusił; zwróciwszy się potem zajął tył nieprzyjacielowi, którego kolumny niedotrzymawszy placu, poszły w rozsypkę. Trwoga i zamieszanie stały się powszechnemi, a wojsko Hiszpańskie utraciwszy działa i bagaże, całkowicie rozbite zostało.

8 sierpnia, awangarda marszałka Mortier zniosła oddział będący pod dowództwem generała Cuesto.

12 sierpnia, marszałek Ney pobił generała Wilson w górach de Banos, poczem generał Arthur Wellesley cofnął się do Portugalii, Madryt oswoobodzonym został, a my po tylu zwycięztwach, słusznie wróżyliśmy sobie blizki koniec kampanii, lub przynajmniej długi odpoczynek po znojach. Jakoż półk nasz postawiono w spokojnych i wygodnych kwaterach, z kąd dopiero w październiku za zjawieniem się nowych sił nieprzyjacielskich, przemaszerowawszy przez miasto Toledo, stanęliśmy na linii bojowej.

17 listopada, dywizya Polska księstwa Warszawskiego będąca pod dowództwem półkownika księcia Sulkowskiego, zajmowała Aranjuez.

Półk nasz niedaleko Toledo, wyświecał patrolami poruszenia armii nieprzyjacielskiej, z 55,000 wojska złożo-

nej. W jednej brygadzie z półkiem 10 strzelców konnych Francuzkich pod dowództwem generała Paris, z 17^{go} na 18^{sty} w nocy ruszyliśmy pod Toledo, a maszerując noc i dzień, stanęliśmy około 2 zpołudnia w alejach wiodących do Aranjuez, gdzie w wilią naszego przymarszu, piechota Polska nieco poturbowaną została przez kawaleryą Hiszpańską. Krótko odpocząwszy, w przytomności marszałka Mortier i generała Sebastiani, przebyliśmy rzekę Tagus wplaw, poczem ruszyliśmy dróżyną po lewej stronie traktu do miasta Ocaña, odległego ztamtąd o dwie mile. Nadbiegł do nas adjutant marszałka z rozkazem: że dziś nie ma nieprzyjaciela pardonu. Na takie hasło, każdy z nas pokręcił węża, i czapkę bardziej na ucho nachylił. Prowadzeni przez jakieś ścieżki i manowce, nie wiedzieliśmy co się wkoło nas dzieje; aż wyszedłszy na górę usłyszeliśmy komendę formuj plutony, a następnie plutonami wstępuj do frontu. Ja prowadziłem pluton za oficera, bo prawie po większej części wszystkie plutony prowadzone były przez podoficerów, półkiem zaś dowodził kapitan Huppet. Uformowawszy się frontem, ujrzeliliśmy rozległą płaszczynę, za którą opodal miasto Ocaña. Na równinach stała uszykowana w różnych kierunkach liczna kawalerya Hiszpańska. Traktem z Aranjuez do Ocaña prowadzącym, posuwała się brygada dragonów Francuzkich, na których czele jechał sam marszałek Mortier z generałem Sebastianim, celem rozpoznania pozycji. Skoro stanęliśmy na linii bojowej, przezorny kapitan Huppet, rozkazawszy dowódcom plutonów stanąć każdemu na skrzydle prawym swojego plutonu w szereg, przebiegał front, zalecając porządek i ściśle wykonanie komendy. Jakoż wnet prawe skrzydło nieprzyjacielskiej ka-

waleryi złożone z owych *Carabineros Reales*, dobrze nam od bitwy pod Jovenes znanych, uderzyli na nas, prowadzeni przez dzielnego dowódcę na białym koniu, którego wyprzedzając wszystkich, sam pierwszy szedł do ataku. Huppet krzyknął: „*za broń!*” a za zbliżeniem się frontu nieprzyjacielskiej jazdy: „*do ataku broń!*”

Czyli że raptowne spuszczenie lanc do ataku strwożyło lecących w pędzie Hiszpanów, czyli mignięcie chorągiewek konie im zraziło, bądź co bądź, ale front nieprzyjacielski stanął przed nami jak wryty, lub nad przepaścią zatrzymany, z czego korzystając Huppet, obleciał naszą linią raz jeszcze zalecając porządek i krew zimną. Przez ten czas Hiszpański dowódca przeraźliwie krzyczał na swoich: „*alante Ijos!*” (naprzód dzieci), lecz gdy to było bezskuteczne, zakomenderował: „*fuego!*” (ognia). Przywitani rześistym ogniem, wytrzymałiśmy go spokojnie, gdy dowódca Hiszpański napróżno jeszcze wołał na swoich: „*alante Ijos!*”, a przywiedziony do rozpaczy, rzucił pałasz na ziemię i pierwszy z placu umknął. Za dowódcą półk cały poszedł w rozsypkę, z czego korzystając, ścigaliśmy owych sławnych karabiniarów, aż pod samo miasto Ocaña.

Na szczęście nasze, dowódca 10 półku strzelców konnych, składających z nami jedną brygadę, zdołał choć z trudnością utrzymać w miejscu swoją komendę.

Bo gdyby i ta jedyna rezerwa nasza, podobnie jak my była zrobiła, Hiszpanie mając 3000 kawaleryi, byłiby nas obstąpili i do szczętu znieśli. Konni strzelcy nasi, powtarzam, pozostali w miejscu, a oficer z naszego półku Janiszewski będący przy generale Sebastianim, wysłany przez tegoż z rozkazem abyśmy się cofali, gdy doniósł, iż

półk nasz złamał prawe skrzydło kawaleryi Hiszpańskiej i bije się pod miastem Ocaña, marszałek Mortier zwróciwszy brygadę wracających z rekonesansu dragonów, na czele tychże sam szarżę przypuścił, co widząc 10 półk strzelców konnych, to samo ze swój strony uczynił. Korzystając z tego obrotu, Huppet wyprowadził nas z ambarasu, naprędce zformował i atak ponowił. Tym więc sposobem nieprzyjaciel z trzech stron napadnięty, chociaż potrójną miał siłę, niewytrzymałszy natarczywości naszej kawaleryi, tył podał i w zupełną rozsypkę poszedł.

Z trzech tysięcy kawaleryi Hiszpańskiej mało co uszło z placu, mało się nam niewolników dostało; rozjuszony bowiem żołnierz, korzystając z hasła bez pardonu, mało komu życie zostawił.

Wielkie mnóstwo koni stało się naszą zdobyczą, a ciemność nocy przerwała bitwę, której los do dnia następnego odłożonym został.

Półk nasz cofnąwszy się manowcami z placu pobojo-wiska, zatrzymał się w blizkości wioski, gdzie nasza Polska piechota stanęła na nocleg. Radość z odniesionego zwycięstwa dzieląc z ziolkami swojemi, przy ogniskach każdy opowiadał swoje czyny; były to tysiąc nocy i jedna, tylko prawdziwe! każdy bowiem opowiadał co zrobił, co widział!

Nazajutrz rano gdy półk wystąpił, dowiedzieliśmy się dopiero o stracie naszego generała brygady Paris, poczciwego staruszka, kochanego od wszystkich. Długośmy nie wiedzieli czy zginął, czy się do niewoli dostał, aż w końcu doszła do nas wiadomość, iż po owęj szarży pod Ocaña, wzięwszy ułanów Hiszpańskich za nasz półk, przez nich schwytanym został. Stawiony po-

tém przed generała Hiszpańskiego, za dane hasło, aby Hiszpanom nie dawać pardonu, z jego rozkazu srodze zamordowanym został.

Dnia 19 listopada, ruszyliśmy traktem z Aranuez do Ocaña, dla zajęcia wczorajszej pozycji.

Stanąwszy na prawém skrzydle lekkiej kawaleryi, gdy się już cała armia uszykowała, przy odgłosie trąb i muzyki, marszałek Mortier przyjechał przed front naszego półku, a zdjawszy kapelusz, wynurzył nam najwyższe zadowolnienie za wczorajszą szarżę. Poczém w imieniu Napoleona mianował kapitana Huppet szefem szwadronu, i kazał sobie podać listę tych, co się najwięcej odznaczyli; gdy na to dowódzca odpowiedział, że wszyscy są waleczni, nikomu jak zwykle nic nie dano. Około 8^{ej} lub 9^{ej} zrana, dywizya Polska uderzyła na prawe skrzydło nieprzyjacielskie, oparte o wężozwozy prowadzące od rzeki Tagus do miasta Ocaña. Brygada Niemiecka, w asekuracji Polskiej dywizyi, za nią pomaszerowała. Reszta armii stojąc na miejscu, miała być świadkiem nastąpić mających wypadków.

Za zbliżeniem się Polskiej dywizyi do wężozwozów, przywitani gradem kul armatnich i ręcznej broni, Polacy poniosszy wielki szwank w zabitych i rannych, już się w nieporządku cofać zaczęli, gdy książę Sułkowski porwawszy sztandar drugiego batalionu, czwartego półku piechoty, uciekających zatrzymał, a rzuciwszy się pomiędzy nieprzyjaciół zastępy, wężozwozy, i armaty Hiszpańskie zdobył. Po tym stanowczym wypadku, bitwa krótko trwała, piechota nasza zajęła miasto Ocaña, a kilkadziesiąt armat, i kilkanaście tysięcy niewolnika, stały się dla nas trofeami zwycięstwa.

P. de Rocca w dziele swoim twierdzi, że zwycięstwo pod Ocaña, odniósł jedynie korpus marszałka Mortier. Twierdzenie takowe, pochodzi zapewne z niewiadomości, gdyż autor jak sam przyznaje, był wtenczas wysłany do Francyi; niebędąc więc naocznym świadkiem téj bitwy, opisał to, co mylnie słyszał.

Po bitwie pod Ocaña, rozkazano w półku naszym wszystkim wachmistrzom starszym i furyerom udać się pod Madryt do zakładu, dla uporządkowania odmian kontroli. Tam zastałem Kostaneckiego ciągle chorego, sam zaś zaraz po moim przyjeździe, dostałem nieznośnego bólu w nodze. Napróżno leczyli mnie Hiszpańscy lekarze; stan mego zdrowia coraz się pogorszał; dopióro Rorich półkowy nasz lekarz, za przybyciem swoim poznał, iż ból mój pochodził, od upadnięcia z koniem po bitwie pod Ocaña, w skutek czego kość w nodze nadpękniętą została; przedsięwziąwszy zatem skuteczne środki, wnet mnie przywrócił do zdrowia.

Pan de Rocca słusznie sądzi, iż po wygranej bitwie pod Ocaña, wojsko Francuzkie powinno się było rzucić na zajęcie Portugalii, i zmusić Anglików do opuszczenia półwyspu. Po uwolnieniu tym sposobem Hiszpanów i Portugalczyków, od podżegania i intryg Angielskich, uspokojenie umysłów mogło być łatwiejszém. Kiedy przeciwnie, zajmując prowincye po za górami Sierra-Morena jako to: Sewillę, Grenadę, Estremadurę i Murcyę, korpusy pojedynczo, bez skomunikowania się z sobą działały, przez co Anglicy zyskali czas do wzmocnienia Portugalii i uorganizowania sił własnych i sprzymierzonych. Powody usprawiedliwiające zajęcie prowincyj wyżej wyszczególnionych, były, iż zdawało się, że tam spoczywa

ognisko rewolucyi; to jest, że tam istniał rząd narodowy, mający komunikacyą z całym krajem. Tak też rzeczywiście było, i gdybyśmy się byli rzucili na Portugalią, los korpusu Junota byłby nas niezawodnie spotkał. Według mojego zdania, trzeba było, albo nierozdzielając sił własnych, wielkimi massami działać i rozstrzygać od razu, albo oszczędzając krwi ludzkiej tak marnie przelanej, ustąpić Hiszpanom tej ziemi której tak walecznie, tak bohatersko bronić umieli!

Po bitwie pod Ocaña, rząd narodowy Hiszpański przekonawszy się, że w otwartém polu Hiszpanie mierzyć się z nami nie mogą, w całym kraju wojnę regularną, na wojnę partyzancką czyli gierylasów zamienił. Od tej epoki, kupy żołnierzy, połączone z mieszkańcami równin i gór, mając księży na czele, w pośrodku wojsk naszych, formowały niebezpieczne bandy. Nieraz mnich w kapturze dowodził oddziałem, a najmniejsza odniesiona korzyść z ust do ust przechodząc i rosnąc po drodze, zapalał Hiszpanów zamieniała w szaleństwo. Każden rozsądny świadek tego co się codziennie działo, mógł snadnie przewidywać, że jeżeli naród Hiszpański podbić można, uśmierzyć go niepodobna.

Skoro którą prowincyę opuszczały wojska Francuzkie, zaraz w niej zaprowadzano władzę w imieniu Ferdynanda VII^{go} i karano tych Hiszpanów, którzy najmniejszą ku nam okazali życzliwość. W Maladze i innych miastach, widziano kobiety pierwszych rodzin, wystawione na przegierzu za to, że z nami tańczyły na balach. Odtąd zachowywaliśmy tę ostrożność, iż zapraszając gości na wieczory lub bale, komenderowano oficera i kilku żołnierzy

z bronią, którzy chodząc od domu do domu, jakoby zmuszali do zabawy.

Jednym słowem, zwyciężone wojsko Hiszpańskie i po całym kraju rozsypane, w ciągłym nas jednak oblężeniu trzymało i istotnie, w Hiszpanii każdy z nas był tylko panem tej stopy ziemi, na której stał chwilowo. Garnizony zostawione dla utrzymywania mieszkańców w posłuszeństwie, ustawiczną prowadziły wojnę; były zmuszane sypać fortyfikacye ku własnej obronie, lub naprawiać dawne zamki, przez Rzymian lub Maurów w tym celu po górach stawiane. Na równinach obwarowywano domy, dla utrzymywania poczty listowej. W następnym roku wojny Hiszpańskiej, mocno będąc ranny, na podobne przeznaczenie wykomenderowany zostałem do wsi Mariena pomiędzy Sewillą a Kordubą, a do mojej komendy dodano cały szpital koni odsegnionych, i rannych z naszego półku. Złózowawszy z tej posady oficera Leduchowskiego, znalazłem na pierwszy rzut oka, że jakkolwiek we wsi oba końce ulicy są zamurowane, opatrzone strzelnicami, i mają tylko do wnijscia furtki za palisadami, za któremi straż dzień i noc czuwała; gdy jednak poprzędnik mój, straż takową powierzył gwardyi miejscowej, którą w broń i amunicyą opatrzył, niedowierzając takowej, kazałem broń u siebie złożyć, a straż wsi oddałem moim ułanom. Tę ostrożność za konieczną osądziłem z przekonania, iż owa gwardya narodowa piesza i konna, ku usłudze króla Józefa w całej Hiszpanii uformowana, sprzyjała bardziej narodowi, jak nowemu rządowi, i w niej zamiast pomocy, mieliśmy tylko domowych szpiegów i ukrytych nieprzyjaciół.

Nazajutrz mojego że tak nazwę gubernatorstwa, nad samym wieczorem sztyldwach zawołał: „kto idzie?” a po odpowiedzi, dodał: „kapral przekonaj się”; skoczyła warta do broni i ja też wyszedłem za bramę. Tam zastałem pięciu Hiszpanów, z których jeden, jak się zdawał starszy między niemi, na dzielnym koniu, zbliżywszy się do mnie, prosił o pozwolenie przenocowania we wsi ze swoją komendą. Zapytawszy o list otwarty, kazałem przywołać naszego komisarza wojennego, Hiszpana, dość nam sprzyjającego, ażeby przejrzał papiery, sam zaś uchwyciwszy za karabinek wiszący przy kulbace nieznajomego, byłto sztuciec z gatunku nazwanego garłacz, chwaliłem, iż to była broń dobra na blizki strzał. Hiszpan mój w oka mgnieniu porwał za sztuciec z drugiej strony kulbaki wiszący, a wymierzywszy ku mnie, „i to niezły kawałek zawołał.” To wszystko we mnie podejrzenie wznieciło. Wtém komisarz zapytał nieznajomego: „Dokąd pan maszerujesz?” — „Do Alcala.” — „Jak liczna twoja komenda?” — „Wszak napisano w marszrucie, że dwieście ludzi, odpowiedział, a jeżeli państwo nie wierzycie, to proszę z sobą.” Jakoż, wzięła mnie ciekawość obaczyć tę bandę, i już uszedłem kilka kroków, kiedy tknięty jakby przecuciem, zawołałem: „trąbić do apelu” i przeprosiłem Hiszpana, iż dalej z nim iść nie mogę bo mnie służba woła; ten się zatrzymał, a zwróciwszy ku mnie konia: „*Cavallo reverencia*” (koniu uklon się) zawołał. Przepyszny Andaluzki rumak, spiął się na te słowa i ukląkł, a zczekawszy chwilę aż się z jego panem pożegnałem, uniósł go pędem wiatru w przeciwną stronę. Wtedy dopiero komisarz wrócił do przytomności i wyznał, iż mu się zdaje, że ten nieznajo-

my jestto sławny partyzant Saldibias, przyczém wymawiał się, że mnie o tém wprzód przestrziedz nie mógł.

Nazajutrz wzięwszy kilku ułanów, pojechałem do innej wsi pod moim zarządem będącej, a tam wybadawszy alkadego, czyli wójta gminy, przekonałem się, iż mniemanie naszego komisarza było prawdziwém. Ostrzeżono mnie nawet, iż Saldibias z komendą swoją, znajduje się o kilka staj w zasadzce około młyna, i czeka na przechodzić tamtędy mający konwoj.

Od tej chwili, największą ostrożność zachowywać przymuszony byłem, i ta jedynie nas od ciągłych zasadzek i sideł chroniła. Gdzie kawaleryi nie było, stawiano sztyldwachów na wieży dla wypatrywania podjazdów gieryllasów; na noc zamykano się do ufortyfikowanego domu, a żołnierz trzymając broń wręku, spoczywał. Pomimo tego, wieleżto odosobnionych oddziałów wymordowano w Hiszpanii! nad rzeką Gvadiana w podobnej stacyi jaką ja zajmowałem, oficera i 20 żołnierzy wyrznięto, którym w pomoc przyszedłszy, drgające jeszcze ciała znaleźliśmy.

Armia Francuzka, z największą trudnością otrzymywała amunicją i inne wojenne transporta; takowe przechodzące przez całą Hiszpanią, mocnej zawsze eskorty wymagały. Na równinach bezpiecznie przechodzić mogły, lecz w górach, napadnięte nieraz przez przemagającą siłę, stawały się często łupem bitnych gieryllasów.

O furaz i żywność z orężem w ręku dobijać się trzeba było, i można śmiało wyrzec, iż w tych odrębnych wyprawach, Francuzi więcej ludzi w Hiszpanii stracili, jak w otwartych bitwach. Naród Hiszpański od początku do końca tej nieszczęśliwej wojny, jednostajną zachował

wytrwałość, a zarazem zemstę i nienawiść ku Francuzom. Nieraz rolnik jedną ręką orząc, w drugiej trzymał broń nabita, nie ku własnej obronie, ale szukając oczami ofiary.

W wielu miejscach starano się oddziały trunkami mordercami upajać, a nocą uśpionych srodze mordowano. Gdyśmy zaś mieszkańców za podobne morderstwa chcieli karać, uchodzili w góry, próżne nam zostawując domy.

Pięć lat trwała ta krwawa wojna; wygraliśmy dziesięć wielkich bitew, nie rachując pomniejszych i ustawicznych potyczek, wszystkie prawie fortece Hiszpańskie były w naszym ręku, a jednak ani jednej piędzi ziemi nie posiadaliśmy spokojnie. Hiszpanie zawojowani lecz nie podbici, jeżeli nie opór, to nam przynajmniej ciągle stawiali przeszkody, jeżeli nie w otwartym polu, to w bezustannych zasadzkach, to w ciągłych skutkach okrutnej, nieprzeblaganiej zemsty, silniejsi od nas, bo silni dobrą sprawą.

W połowie miesiąca grudnia 1809 roku, gdy do wszystkich prawie półków w Hiszpanii będących, nadszły oddziały z Francji, czem armia nasza znacznie wzmocniona została, uchwalono wyprawę do Arragonii, celem zniszczenia rozlicznych band gierylasów, a szczególnie partyzanta Porliera, przezwanego Marquesito, synowca generała Romana, którego w Pirenejskich górach przecinał nam wszelką z Francją komunikację. Oddział z naszego półku pod dowództwem kapitana Fijałkowskiego, ruszył na tę wyprawę, do której i ja udział miałem. Po kilku marszach, tak zręcznie plan wykonano, iż przeszliśmy przez góry Arragonii, po prawie niedostępnych ścieżkach, dostaliśmy się nakoniec do wioski w równinie położonej, kędy była prowincjo-

nalna junta, czyli rząd całej okolicy, z którym się wszelkie władze krajowe łączyły.

Wszakże, zanim z gór zbiegliśmy, wszystko zdołało umknąć przed nami, zostawiając nam ogromne zapasy rynsztunków, broni, amunicji, skór, płótna, sukna, mundurów, dostarczonych przez Anglię. Po tej wyprawie tak bezskutecznej, skorośmy tylko góry Arragonii opuścili, junta miejscowa wróciła napowrót, Anglicy nanowem dostarczyli potrzeb wojennych, a markiz Porlier, na czele bandy swojej, znowu nas trapić zaczął.

Na początku stycznia 1810 roku, oddziały nasze wyruszyły nakoniec kaźden do swojego półku. Nasz oddział ułanów, przeszedłszy Aranjuez, Ocaña, Valdepenas, Santa-Cruz, wszedł do wąwozów gór Sierra-Morena. Jedna droga w skale wykuta, ale ręką natury, pomiędzy dwiema ścianami, sięgającemi wierzchołkiem obłoków, z prowincji Mancyi prowadziła do Andaluzji, słusznie rajem ziemskim nazwanej. Droga ta miejscami obwarowana i ze zwodzonym mostem, była do nieprzebycia. O czem przekonawszy się Francuzi, obrali do przejścia tych gór inne mniej trudne miejsce, ale również obwarowane i przez kilkadziesiąt tysięcy ludzi bronione. Niebędąc na tej wyprawie, opisywać jej nie mogę; upewniali mnie atoli koledzy, że w ręku konie prowadząc, pod kartaczowym ogniem dosiadali onych, a formując się do boju, niebotyczne zdobywali skały.

O tym czynie naszego półku przemilczały dzieje, a kiedy ówczesne gazety i czasowe pisma, opiewały bohaterskie zdobycie Samosieras, czemuż o przejściu gór Sierra-Morena, nie uczyniły najmniejszej wzmianki? Wszak półk liniowy ułanów, mógł zrównać w mężstwie gwardyjakom, a drobna szlachta paniczom!

Przeszedłszy z naszym oddziałem wąwozy Sierra-Morena, weszliśmy do najpiękniejszej prowincji całej Hiszpanii. Chociaż byliśmy na początku stycznia, drzewa kwiatem, a pola zielonością okryte zastaliśmy. Na obszernych równinach widać było miasta, gęste wsie, folwarki, uprawne pola, obszerne pastwiska, bydłem okryte. Lud po Niemiecku ubrany, zamiast uciekać przed nami, biegł do nas i z uprzejmością witał, pozdrawiając językiem Niemieckim. Stanąwszy we wsi porządnie zbudowanej, czyli raczej miasteczku nazwaném Karolina, dowiedzieliśmy się od mieszkańców, że w roku 1781, hrabia d'Olivares, po spustoszeniu téjże doliny przez żółtą febrę, sprowadził Niemieckie rodziny i niemi cały ten kraj zaludnił. Te dotąd zachowały własny język, ubiór i zwyczaje.

Maszerując dalej pod Andujar, przechodziliśmy rzekę Gvadalquivir, i w mieście Santa-Fé, połączyliśmy się z naszym półkiem wysłanym ku nam z Malagi. Przez Grenadę posłaliśmy do miasta Baza, i tam z półkiem 5tym dragonów i 32gim piechoty liniowej Francuzkiej, oraz baterią artylleryi, składaliśmy komendę pod dowództwem generała Perimont.

Korpus 4ty generała Sebastyaniego, chcąc utrzymać kraje nowo zajęte, w posłuszeństwie, przymuszonym został podzielić się na drobne nawet oddziały. Było nas jednak za mało; a lubo lud tamtejszy zajmując się handlem ponad morzem, i rolnictwem, był dosyć łagodnym, wszelako wzdychał za Ferdynandem VII, a o Józefie Bonapartem ani słyszeć nie chciał; z drugiej zaś strony rząd krajowy istniejący na poblizkiej wyspie Ceuta, przez Anglików podlegany ciągłemi proklamacyami, zalecał, aby naród broni nie składał i z nami się nie łączył. Nasz kor-

pusik pod dowództwem generała Perimont, przeszło przez rok cały konsystował w mieście Baza, pomimo tego nieustanne wyprawy za ściganiem partyzantów, za sprowadzaniem żywności, piędźnych kontrybucyj, i tym podobnych potrzeb dla wojska, nie dozwalały nam spokojnego odpoczynku, po tylu doznanych trudach wojennych. Nieraz zapasy żywności przygotowane dla nas, zabierali Hiszpanie, nieraz oddawaliśmy im wet za wet. Słowem, miasto Baza było ciągłym naszym garnizonem, a za miastem tuż linia bojowa.

Baza nie jest miastem pierwszego rzędu; niezamieszkała przez wyższe rodziny Hiszpańskie, opuszczona przez księży i młodzież, miała tylko starce i dzieci. Starych bawiliśmy gawędą, kobiety jak można było, a dzieci uczyliśmy mówić po Polsku.

W czasie naszego pobytu w Baza, wieś Orgas, o milę ztamtąd odległa, zrobiła powstanie, na czele którego stanął miejscowy proboszcz; uśmierzenie buntu niewiele nas kosztowało, chociaż zdobycie wsi było uporczywém; odtąd jednak służba nasza coraz się uciążliwszą stawała, a ciągłe alarmy i ciągła ostrożność, nie dozwalały nam chwili pokoju.

Po uśmierzeniu wsi Orgas, gdy się bandy gierylasów coraz więcej mnożyły, przedsięwzięto przeciwko miastu Kartagienu w Murcyi wyprawę, którą generał Sebastyanie osobiście dowodził. Pomyślny skutek uwieńczył nasze zamiary; z małą stratą opanowaliśmy miasto Kartagiene, gdzie nieprzeliczone bogactwa, armaty, amunicya, stały się naszą zdobyczą. Rozrzuciwszy fortyfikacje miasta, szczęśliwie wróciliśmy do Baza.

Podczas nieobecności generała Sebastyaniego w Grenadzie, gdzie na załodze mała tylko garstka wojska

naszego pozostała, pewien kanonik de Kalatrava, odezwał się podczas nieźporu do ludu, aby korzystając z nieobecności Francuzów, powstał, i garnizon złożony z garstki ludzi w pień wyciął; szczęściem, iż pewien roztropny mieszkaniec miasta, znając, na jakąby się miasto odpowiedzialność naraziło, doniósł o tém komendantowi placu, któren komendę swoją uprowadziwszy do Alhambry, tam się zamknął, i kanonika wziął z sobą. Za powrotem generała Sebastyaniego, sąd wojenny osądził kanonika na uduszenie na szubienicy. Tym bowiem sposobem szlachta Hiszpańska karana bywa: Na rusztowaniu jest słup pod którym stoi krzesło; delinkwent siada, kat mu na szyję zakłada żelazny halstuch i staje za słupem, przez któren przechodzi szruba. Na dany znak szrubę zakreca, i już po wszystkiem. Atoli kanonika rzezonego exekucya odbyła się z wielką ceremonią, i na placu publicznym w obec całego ludu. Wyprowadzony z więzienia, zupełnie spokojny, postępował nawet z pewną dumą i jako zwycięzca. Wstąpiwszy na rusztowanie, po odczytaniu wyroku: „Szkoda, donośnym zawołał głosem, że nie mam więcej życia nad jedno, czemuż ich nie mam trzydzieści, a wszystkiebym wtedy poświęcił dla religii, Ferdynanda VII i Hiszpanii!” Usiadł, szruba skrzyknęła, lud rozrzewniony padł na kolana, a wojsko prze-defilowawszy, spokojnie wróciło do kwater.

W garnizonie naszym w Baza, ciągle byliśmy turbowani przez różnych partyzantów, a szczególnie przez owego Saldibiassa, z którym znajomość moja do czasu mego gubernatorstwa w Maryenas się odnosiła; nigdy jednak do stanowczej nie przychodziło rozprawy.

Aż nakoniec 4go listopada 1810 roku, generał Blacke, uorganizowawszy nową armią w przewyższających

siłach zajął mocne stanowisko pod Rio-Almanzor. Gdyśmy przeciw niemu wystąpili, przekonaliśmy się, że nas atakować nie myśli, jest jednak przygotowany do przyjęcia bitwy. Wtém o godzinie drugiej po południu przybył generał dywizyi Milhaud i zwołał radę wojenną, na której, gdy wszyscy prawie znajdowali pozycją nieprzyjacielską trudną do zdobycia, zwłaszcza nieodpowiadającymi siłami; gdy nadto uważano, iż w przypadku potrzeby odwrotu, ten stałby się niebezpiecznym dla nas w przechodzie przez miasto, którego mieszkańcy za broń chwyciwszy, mogliby nam wielką klęskę zadać; półkownik Konopka od niedawnego czasu z powrotem z Francyi, powstawszy z miejsca zawołał: „Pozwólcie mi uderzyć w sam środek nieprzyjaciół, a za godzinę będzie po bitwie. Gdy generał Milhaud nakłonił się do zdania Konopki, ten wyjechał przed front półku i zakomenderował: „flankiery naprzód, półk do ataku szwadronami od prawego, marsz! marsz!” Pierwszy pluton flankierów grenadyerski był mój, wyskoczyłem z nim naprzód. Wpadłszy na baterję artyleryi, przywitani kartaczowym ogniem, choć koń pode mną został zabity, rzuciwszy się przez rzekę, śmiało poszliśmy do ataku. Zagrzmiały nasze działa, odezwały się trąby i bębny, i wnet nieprzyjacielska linia bojowa w samym środku przerwaną została. Dragony, artylerya, piechota, cwałem polecili za nami. Hiszpanie, zmieszane mając szyki, słaby odpór dawali, a wnet potem odbiegłszy armat i amunicyi, rzucając broń po drodze, piérzchnęli z placu bitwy. Noc nie dozwoliła nam długo ścigać nieprzyjaciela; stanęliśmy o milę w Kullar, a Hiszpanie pozbiierawszy się we dni kilka, gdy im Anglicy dostarczyli armat,

broni i amunicyi, wnet znowu wystąpili na linią bojową, a zwycięstwo przez nas odniesione, jak zwykle żadnej nam nie przyniosło korzyści.

Wkrótce po téj bitwie, uchwalono wyprawę do Murcyi czyli do Kartagieny, którą wyprawę oddano pod dowództwo generała Milhaud.

Na dwie mile przed miastem Lorka, zdybaliśmy Hiszpańską kawalerję, która z początku hardo stawie się zaczęła. Ale lanca wręku ułana, straszniejszą jest bronią od maczugi Herkulesa; nie dotrzymały placu Hiszpańskie szwadrony, a w rozsypce uciekających ścigaliśmy po waryacku; niczém bowiem niewstrzymani, przelecieliśmy miasto Lorka a za nim ogrody oliwne. Za temi był szeroki wąwóz, za którym w szyku bojowym, czekało na nas do trzech tysięcy kawalerji Hiszpańskiej. Dowódca nasz, kapitan Leszczyński, pędził najpierwszy, moje miejsce było obok niego, ale nie kaźden mógł zdążyć za nami. Obejrawszy się zawołałem: stój kapitanie, lecz nie słuchał, i obydwu wlecieliśmy na most. Gradem kul obasypani, wypadliśmy nazad z ognia, jak oparzeni, a nieprzyjaciel kroku za nami nie zrobił. Wnet przybiegli nasi, a za nimi dragony. Rozpoczął się więc ogień flankierski, który trwał aż do nocy; wtedy dopiero nadciągnęły nasze kolumny, a nam starsi należycie uszu natarli za nasze szaleństwo. Doszedłszy pod samo miasto Kartagię, i znalazłszy mosty porozrzucane, kanały napełnione wodą, jedném słowem, niedostępną pozycją osadzoną piechotą, wróciliśmy z niczém. Nieprzyjaciel za nami z ostrożnością postępował, i znowu pod miastem Baza, zaczął nas napastować. Wtedy właśnie byłem świadkiem nieprzyjemnej awantury, która nas z korpu-

sem oficerów Francuzkiego pólku, będącego z nami, poróżniła. Wracając z wyprawy, gdyśmy już zastali na kwaterach piechotę Francuzką, oficer z naszego pólku Runowski, fanfaron, udający panicza, niemający gdzie koni swoich postawić, kazał ze stajni wyprowadzić konia oficera od piechoty Francuzkiej. Gdy się Francuz za to nadużycie uraził, a Runowski niegrzecznie odpowiedział, Francuz dobywszy szpady, wyzwał go na pojedynek. Ale nasz junak odmówiwszy pojedyнку, dostał płazami po plecach. Dowiedziawszy się o tém w pólku, przymusiliśmy Runowskiego aby się pojedyńkował. Strzelali się nazajutrz, i biédny Francuz zabitym został. Niedługo potem panicza wyprosiliśmy z pólku, a co się z nim później stało, nie wiem.

W tymże samym czasie i ja miałem pojedynek ze Skarzyńskim oficerem z naszego pólku, którego byłbym niezawodnie porąbał, gdyby Rogojski, obudwóch sekundant, nie był moich razów parował.

W Baza, żywności coraz bardziej zaczęło brakować, a gierylasy nielitościwie ze wszystkich stron nam dopiekali. Postanowiono więc nową wyprawę do Murcyi. Dnia trzeciego naszego marszu, nie użyto flankierów na awangardę, wysłano zatem pluton z grenadyerskiej kompanii z podoficerem Hupko i z trębaczem. Za nimi szedł szwadron w assekuracyi; dalej na czele pólku, Konopka. Zdybany patrol Hiszpańskiej jazdy na obszernych równinach, hardo stawiał nam czoło. Hupko ze swojej strony zaczął z niemi politykować, wdawszy się w ogień karabinkowy: co postrzegłszy Konopka, przypadł i zawołał: „Kto tu dowodzi, nie wart jeść chleba”. Zgadłem myśl pólkownika, a dobywszy szabli, krzyknąłem na tre-

bacza do ataku. Ruszyli pędem za mną ułany, a Hiszpanie umykali przed nami, pomieszani jak owce. Zaraz kilkunastu spadło z koni, resztę goniliśmy przeszło milę. Tym sposobem pędząc uciekających, wpadliśmy pod ogrodami w zasadzkę. Ja też zatrzymałem moich zuchołów, a ponieważ nas było tylko kilku, przez godzinę napróżno czekaliśmy na nasze kolumny, wykręcając się przed nieprzyjacielem jak piskorze. Wtém nadbiegł Walewski Wincenty, i Pietro porucznik, wysłani nam w pomoc z plutonem. Hiszpanie widząc nas w tak małej liczbie, poszli do ataku, dawszy wprzód do nas ognia. Ubito pod mną konia, a grenadyery nasze już się zaczęli w tył obziierać, gdy ich wstrzymał stary kapral Węgier, Feldysz. Zbiegli się do frontu, atak wytrzymali, ja zaś złapawszy za strzemię Walewskiego, uratowany dopadłem zabranego konia, półk też nadciągnął i Hiszpanie umknęli z placu.

Tą razą nie dalej doszliśmy jak do miasta Lorka. Tam pewien Francuz, wpadłszy do domu Hiszpańskiego, córce gospodarza krzywdę wyrządził. Ojciec z córką poszli do generała Sebastyaniego na skargę, przywodząc, że żołnierz miał żółty kołnierz. Gienerał zawoławszy do siebie półkownika Konopkę, ostro go złażał, sądząc, że to był nasz ułan z żółtym kołnierzem. Przymtem wyrzucał półkownikowi, że Polacy są rabusiami, gwałcicielami, przez co zmuszają mieszkańców do powstania. Konopka żywo dotknięty, kazał półkowi wystąpić, a generał z panią i jej ojcem nadeszli, chcąc winowajcę poznać. Lecz skoro panna Polaków obaczyła, oświadczyła, iż ten co jej krzywdę wyrządził, był Francuzem a nie Polakiem. Zmięszał się Sebastyani generał, kazał pie-

choć Francuzkię wystąpić, jakoż wnet winowajca poznany został; był to woltażer. Natychmiast sześciu wystąpiło grenadyerów, i pomimo próśb Hiszpana i jego córki, bez sądu woltażer rozstrzelany został. Półkownik Konopka mocno urażony tym całym wypadkiem, postarał się, aby nas powołano do korpusu marszałka Soult'a, w skutek czego pomaszzerowaliśmy do Sewilli, i przyznam się, że ze smutkiem przyszło nam się rozstać z mieszkańcami miasta Baza.

Sześćdziesiąt mil drogi odbyliśmy forsownemi marszami, nagleni ciągle rozkazami marszałka. Na jednej stacyi przybiegł adjutant Francuz, z nowym rozkazem o przyspieszenie marszu. Zatrzymanego na obiad, przy całym prawie korpusie oficerów wielki wstyd spotkał. W tém bowiem miejscu, półkownik Konopka z żoną, stanęli u tamiecznego magnata na kwaterze, i to ich obojga mocno zdziwiło, że gospodarstwo familii swojej nam nie przedstawiało.

Półkownikowa, ładna Włoszka, zapytała o przyczynę gospodyni domu, która po długim wahaniu, wygadała się, że mają dzieci, lecz te są pochowane, z powodu, że Francuzi nagadali o Polakach, że są rabusiami, wszystko niszczą, a jako lud Azyatycki, dzieci zjadają. Półkownikowa rozśmiałszy się z tych baśni, uprosiła gospodynię domu o wyprowadzenie zpod strychu dzieci, które wraz z rodzicami, tak dla przekonania Hiszpanów o naszych obyczajach, jako też z powodu przybyłego adjutanta, zaprosiła na obiad.

Pokazały nam się śliczne dwie panny, i małe dzieci ładne jak aniolki. Podczas obiadu, chłopcy wkoło stołu biegały; jeden z nich złapawszy półkownika za szyję,

ściskał go serdecznie. Konopka wyniósłszy chłopca w górę: „Francuzi, rzekł, utrzymują, żeśmy rabusiami, niszczyicielami téj krainy, że dzieci zjadamy! Gdyby tak było, czyżby z instynktu samego, to dziecko tak się do mnie tuliło?” Francuza ledwo krew nie zalała, i prawie przytomność utracił, my zaś zmarszczywszy czoła, ostro spojrzeliśmy na niego. Półkownikowa, dowcipna Włoszka, o czém inném mówić zaczęła; wtém podano kolejne kielichy, a wesołość zastąpiła niesmak i cierpkie przygryzki. Po obiedzie adjutant odjechał, my zaś na całą noc ruszyliśmy w dalszą drogę.

Nakoniec w dzień niedzielny, z rana, pokazała nam się Sewilla, owa stolica królowej Izabelli, owo miasto ze śpiczastemi wieżami, niezliczonych kościołów! Przed południem, w alejach nad rzeką Guadalquivir, uszykowany półk, obejrzał marszałek Soult z licznym swoim sztabem. Potém przeprowadzono nas przez most, na przedmieście Trajana zwane, gdzie na trzech ulicach porządnie zabudowanych, wygodnie rozkwaterowani, pojąć nie mogliśmy, dlaczego mieszkańcy tak się pochowali, że żadnego na ulicach widać nie było. Ta obawa mieszkańców Sewilli, pochodziła z podobnych baśni, jakie nam opowiadano po drodze, co tak ich przeraziło, że przed naszym przyjściem, deputacya z miasta prosiła marszałka, aby półkowi naszemu nie dano kwater w mieście, i dlatego stanęliśmy na przedmieściu Trajana. Lecz wkrótce oswoiwszy się z nami, gdy się przekonali, że się żadnego nadużycia nie dopuszczamy, łagodnie się zachowujemy, obawiać się nas przestali, i w dobrej komitywie z nami żyli. Drugą nawet deputacyą do marszałka wy-

słali, z prośbą, aby nas przenieść do miasta, lecz półkownik Konopka sprzeciwił się temu.

W dzień naszego przymarszu do Sewilli, marszałek Soult zaprosił na wieczór do siebie korpus oficerów naszego półku. Nazajutrz konno oddaliśmy wizyty wyższym generałom. Ubiór nasz był piękny, konie dzielne, oficerowie młodzi i przystojni, niejedném zwycięstwem głośni; przypatrywały nam się téż Hiszpanki, a na nasz widok, niejednej się oczko uśmiechnęło, niejedno serduszko zapukało.

Wypocząwszy dni kilka, półk złożony z przeszło 700 koni, odbył za miastem manewra, a szybkością ewolucyj, zwinnością koni, i fechtowaniem lanca, wszystkich widzów zachwycił.

Karmieni, pojeni do sytości, płatni regularnie, na wygodnych kwaterach o wszystkich zapomniawszy trudach, byliśmy szczęśliwi, a niewiedząc co się wkoło nas dzieje, sądziliśmy, że tak zawsze będzie. Już upłynęło dni dziesięć jakieśmy błogie życie prowadzili w Sewilli, gdy wieczorem podczas kolacyi, na której spijaliśmy doskonały Xeres, daje trębacz appel na sierżantów od służby. Wtém wypadu Jagielskiemu łyżka z ręki, zbladł jak trup i zawołał: „ja na téj wyprawie zginę.” Ruszyliśmy się do butelek i do koni, a ja wziąwszy dwie butelki Xeresu, do kieszeni w rajtuzy, ruszyłem do Jagielskiego. Był on podoficerem od flankierów, a jako dobry chłopiec i tęgı żołnierz, lubiony od wszystkich. Zastałem go rozciągniętego na łóżku w rozpacz, i gdym się o przyczynę pytał, odpowiedział, że rychłą śmierć swoją prze-czuwa.

Półk już był wystąpił, gdy Jagielski zbliżywszy się do mnie na koniu, prosił, aby od flankierów mógł do kompanii powrócić; co gdy zameldowano kapitanowi Leszczyńskiemu, ten na to zezwolił. Poczém ruszyliśmy w pochód.

Maszerując noc całą, niewiedząc dokąd i poco, z rana dopiero spostrzegliśmy, że cała armia poszła naprzód; my tylko z 10 półkiem huzarów Francuzkich formujemy aryergardę. Zaczęliśmy szemrać wyrzekając, iż naszym podobno przeznaczeniem zbierać podkowy. Powoli téż i wino się wypilo, mięso się psuło, suchary twarde nie smakowały, koniom furaż ciężył, a przechodząc przez wieś i miasta, nigdzie nieznajdowaliśmy mieszkańców. Czwartego i piątego dnia naszego pochodu, głód i pragnienie zaczęły nam dokuczać, a nieprzyjaciela jeszcze widać nie było.

Dnia 15 maja 1811 r., po południu przyszliśmy pod las rozległy i gęsty, przez którego dragony poszli w rozsypkę, a my środkową drogą. Za lasem ujrzelśmy wioskę Albuhera, leżącą na prawej stronie rzeki tegoż nazwiska, na której był most. Za rzeką wzgórze ciągnące się aż do ogromnego pasma gór skalistych, a na tej pozycji ogromne kolumny piechoty, czarne masy kawalerii i artylerii, przed którymi łańcuch placówek i sztylwachów. Wtém słońce zachodzić zaczęło, a my stanąwszy obozem, rozłożyliśmy ogniska.

Ze wszystkiego złego dla kawalerzysty, to najgorsze, kiedy koń zmęczony z głodu i pochodu. Właśnie nad tém dumiałem przy ognisku, gdy przyszedł rozkaz, aby skoro świt, paradnie wystąpić. Zjadłszy z kolegami kawałek schabowiny zepsutój i wypiwszy po kieliszku araku, zasnąłem spokojnie. Wtém nade dniem 16 maja, zatrąbio-

no pobudkę; zerwałem się co żywo, i już stałem na czele moich zuchów, kiedy, plutonami od prawego, odłam się! zakomenderowano. Podczas gdy defilowaliśmy około stojącego marszałka, słońce wschodzić zaczęło. Półkownik krzyknął: „Flankiery naprzód!” Przebiegając koło niego, usłyszałem rozkaz: „Broń na smycz, żwawo na lewo koło mostu, wpław przez rzekę, uderzyć na nieprzyjaciela!” Plutony przebiegały galopem, a ja zatrzymawszy się jeszcze na chwilę, słuchałem dalszych rozkazów; wtém półkownik krzyknął na mnie po Francuzku: „czyś głuchy?” W oka mgnieniu zwróciłem ognistego kasztana i pierwszy rzuciłem się wrzékę. Koło mostu widzieliśmy siedzących minierów. Przepłynąwszy, zformowałem pluton, co téż za mną Rogojski uczynił, poczem uderzywszy na szwadron dragonów Londyńskich, w puch ich rozbiliśmy. Wskoczyły przeciwko nam dwa inne szwadrony, a my cofając się w porządku, ujrzelśmy za sobą w assekuracji Leszczyńskiego, na czele dwóch drugich plutonów flankierów, za rzeką zaś półk się formował. Zwróciwszy się, uderzyliśmy znowu na Anglików, i dwa szwadrony postępujące za nami rozbiliśmy.

Dopiero gdy wyszła przeciwko nam nazbyt przewyższająca siła, poczęła się w rozsypce utarczka. Każden z nas walczył z kilkoma, a walka ta nierówna już pewny czas trwała, gdy artyleria nasza stanąwszy na pozycji, zaczęła Anglików prażyć, którzy pobojuwiska trupami zasłanego nam ustąpili. Porzuceni na straconą pocztę, pomieszani z przemagającym nieprzyjacielem, zbiegamy się z Rogojskim: „Piotrze, wołam, nie masz tam czego się napić? ten porywa flaszkę, a sam wypiwszy, mnie podaje. W tej samój chwili, kiedy krzepię siły, przela-

tuje pomiędzy nami kula armatnia, niezgrabnie wymierzona przez naszego kanoniera, która o włos ze nas obydwóch nie sprzątnęła.

Anglicy widząc że nam nikt pomocy nie daje, po raz trzeci przypuścili na nas atak. Gdyśmy zaś spostrzegli, że się nasza assekuracja cofnęła i półku na tamtej stronie rzeki nie widać, zwołałem na Rogojskiego aby czém prędzej rzekę wplaw przechodził, i z drugiego brzegu dał ognia. Na moje nieszczęście, nad brzegiem błotnistym rzeki, koń się wywraca pod kapralem z plutonu Rogojskiego, co ich przeprawę na chwilę wstrzymuje; tymczasem okryty chmarą Anglików, 14 ludzi z mojego plutonu straciwszy, szablą w ręku sobie torując drogę, a rzucawszy się w rzekę, szczęśliwie na drugi brzeg przepływam. Na tamtej stronie przybiegł Skrobicki Piotr, adiutant półkowy, z oznajmieniem, że trzeci raz przywozi rozkaz cofania się, a my go nie słuchamy.

Wnet po nim nadjechał szef Kostanecki gderając: „otóżto szlachta Polska, szabelką wywijając, śmierć polykać, a rozkazów nie słuchać.” Wytłómaczywszy się przed szefem, iż żaden rozkaz do nas nie doszedł, ruszamy za nim, aż patrząc iż mój kasztan ciągnie za sobą nogę. Poczciwe stworzenie, chociaż ranne, ocaliło mi jednak życie. Przechodząc ponad rzeką przez te miejsca, gdzie z początku bitwy półk nasz stał uformowany, spostrzegamy nagiego trupa; było biędny nasz Jagielski: pierwszą kulą trafiony, znalazł śmierć, którą sobie wyróżył.

Straciliśmy w tej smutnej wyprawie, kapitana Leszczyńskiego; przeszyty kulą na wylot, umarł w kilka dni później i pochowany w mieście Llerena.

Połączywszy się z półkiem, zastaliśmy Hiszpanów, Portugalczyków i Anglików, pod dowództwem marszałka Beresford, już w szyku bojowym. Nieprzyjacielska armia opierała lewe skrzydło o wieś Albuhera, ciągnąc linią swoją ponad wzgórzami dosyć stromemi od Santa-Martha, i coraz to zniżającemi się od strony Olivenca i Badajoz. U stóp tej pozycyi, płynęła mała rzeka Albuhera. Prawe skrzydło zajmowali Anglicy, Portugalczycy i Hiszpanie środek, i lewe skrzydło. Marszałek Soult, rozpoznawszy stanowiska nieprzyjacielskiej armii, przekonał się, iż ze szczupłemi siłami swojemi, niepodobna mu będzie wszystkie punkta razem atakować. Umyślił zatem nierozdzielając sił swoich, massami działać. Generał Godinot dostał rozkaz opanowania wsi Albuhera mocno przez Hiszpanów obsadzonej, a piąty korpus mając na swoim czele generała Girard (*), miał uderzyć na Anglików, czyli na prawe skrzydło nieprzyjacielskiego wojska; generał Latour-Maubourg w trzy tysiące kilkaset kawaleryi powinien go być wspierać, i po opanowaniu pozycyi nieprzyjacielskiej, ścigać rejtujący się Anglików. Cały ten obrót miał się skutecznie pod assekuracją artyleryi Francuzkiej, będącej pod dowództwem generała Ruty. Jedną zaś baterję lekkiej artyleryi zostawiono do dyspozycyi generała Godinot. Ta więc baterja 16go maja z rana rozpoczęła bitwę. Już Godinot był przeszedł rzekę, i we wsi Albuhera morderczy rozpoczął ogień, już Girard uderzywszy z natarczywością na prawe skrzydło nieprzyjacielskiej armii, zmusił Angli-

(*). Dowódca korpusu Vgo marszałek Mortier, był za urlopem we Francyi, a generał Erlon mający go zastępować, nie był jeszcze przyjechał.

ków do wolnego i porządnego odwrotu, którym ciągnąc się ku środkowi, nie cofać się, ale wzmocnić tylko chcieli. Postrzegłszy ten obrót marszałek Soult, rozkazał półkowi naszemu z boku na nich uderzyć. Poszliśmy do ataku, a mając szeroki wąwoz do przebycia, przebywając go, i formując się w oczach nieprzyjacielskiej linii, wpadliśmy na nią szwadronami. Rozbiwszy trzy półki piechoty Angielskiej, zabraliśmy im 1000 niewolnika i sześć armat, a odparłszy atak Londyńskiego półku dragonów, którego nas chciał oskrzydlić, w porządku wróciliśmy na dawne miejsce. Przez ten czas generał Godinot bijąc się ciągle w Albuhera, ze wsi jednak nie zdołał jeszcze wyparować Hiszpanów, generał zaś Girard z bagnetem w rękę, massami opanował pozycję przez Anglików zajmowaną. Pierwsze to powodzenie, drogo jednak okupionem zostało; mieliśmy bowiem dwóch generałów zabitych, trzech rannych (*), a były bataliony, w których ani jeden nie pozostał oficer. Po tym pierwszym ataku, 5ty korpus miał się rzucić na drugą i trzecią linią nieprzyjacielską; taki był bowiem rozkaz marszałka, ale nie było już komu go wykonać. Piechota zatem nasza schodząc z zajętej pozycji, zaczęła się cofać, a Anglicy zaczęli za nią postępować. Już bitwa dla nas przegrana być miała, gdy generał Ruty, zebrawszy całą artylerję, morderczy rozpoczął ogień, którego trwając przez godzin kilka, ogromne straty w szeregach nieprzyjacielskich poczynił. Już się był generał Godinot spod Albuhera cofnął, gdy marszałek Beresford, spostrzegłszy stagnacyą w naszych

(*) Pod Albuhera, zginęli generałowie Werlé i Pepin, zabitych i rannych mieliśmy do 6,500, strata zaś ze strony nieprzyjaciela dochodziła do 10,000.

poruszeniach, całą swoją piechotę chciał na nas rzucić, dla rozstrzygnięcia losu bitwy. Spostrzegłszy to marszałek Soult, przybiegł przed front naszego półku i zawołał: „Półkowniku! ratuj honor Francji.” Gdy Konopka zakomenderował do ataku, wpadliśmy na nieprzyjaciela, którego w samym marszu wstrzymawszy na chwilę, daliśmy czas generałowi Latour-Maubourg do posunięcia się naprzód, i zniweczenia zamiaru tak szkodliwego dla nas. Anglicy w swoich raportach donosząc o batalii pod Albuhera, o naszym półku temi nadmieniają słowy: „Polacy zaczęli tę bitwę, utrzymali, i z największą chwałą zakończyli.”

Tu się też zakończyła długa nasza pokuta za utracone pod Jovenes sztandary. Półkownik przedstawionym został na generała, a my dostali jedenaście krzyżów legii honorowej na nasz półk, z których i mnie się nakoniec dostał, za utratę trzech koni zabitych pode mną, będąc prócz tego pałaszem cięty i przestrzelony. Straciliśmy w półku pod Albuhera pięciu oficerów zabitych, jedenaśtu rannych, i ze dwustu żołnierzy rannych i zabitych.

Po bitwie pod Albuhera, armia Francuzka z 17 na 18 maja przybyła do Solano, dwudziestego do Fuente-del-Maestro; dwudziestego drugiego do Ribeira, a czwartego do Llerena. Anglicy odstąpili od oblężenia miasta Badajoz; a Lord Wellesley, objął całej armii nieprzyjacielskiej dowództwo. Pochowawszy zabitych i pozbiérawszy rannych, dopiero dnia trzeciego po bitwie, obie armie opuściły plac pobojowiska. Nasi zniósłszy rannych do poblizkiego lasu, tam ich bez opatrzenia, żywności i ratunku zostawili. Jak kto mógł, tak się ratować musiał. Będąc sam dwa razy ranny, na koniu o trzech nogach, straciwszy

wszystko co miałem, przy pomocy Francuzkiego dragona, któremu na placu bitwy odcięto prawą rękę, przez dzień dni maszerując wśród kraju zamienionego w pustynię, przybyliśmy nakoniec do przewozu na rzecę Guadalquivir. Tam dostałem się z wielką trudnością na drugą stronę rzeki, którą jak obleżoną zastałem przez rannych różnego stopnia i maruderów; odtąd pochód nasz już był mniej przykrym i utrudzającym, opatrzeni bowiem wszędzie w kwatery, dostaliśmy się nakoniec do Sewilli, gdzie nas umieszczono w lazarecie, założonym za miastem przez królową Izabellę. Chociaż budynek ten ogromem swoim zadziwił, jednak nas pomieścić nie zdołał, szczególniej po bitwie pod Albuhera, a korytarze nawet zalegały rannymi.

W Sewilli znalazłem wielu rodaków, szczególniej z 7go pólku piechoty księstwa Warszawskiego. Tam złączyłem się z walecznym naszym szefem szwadronu Huppet, któren dowiedziawszy się o mojem przybyciu, kazał mnie natychmiast do lazaretu przynieść; a powziawszy wiadomość od doktorów, iż byli za odcięciem mi prawej ręki, i wstrzymywał ich tylko nadzwyczajny mój stan osłabienia, ułokował mnie w swoim osobnym pokoju w lazarecie, gdzie wesołym humorem i rzadką wytrwałością do cierpliwości w cierpieniach, zachęcał.

Zamknięci w szpitalu, pod bokiemi miasta opasanego murem, z bramami mocno strzeżonemi i tam nawet ranni bezpiecznemi nie byli. Jednej bowiem nocy pogodnej, partya gierylasów przeciągnawszy około lazaretu, napadła na straż u bramy stojącą, pochwyliła oficera z całą wartą, a gdy ich prowadziła przed naszemi oknami, widzieliśmy, jak szturgano, popychano te nieszczęśliwe

ofiary. Ten widok przeraził wszystkich, a obawa aby nas kiedy nie wymordowano, odtąd nam pokoju nie dawała.

Tą myślą przejęci, jedni przygotowywali broń ku obronie, drudzy z bojaźliwych żartowali, gdy pewnej nocy, żołnierz Francuzki lekko ranny, wypatrzywszy, iż sąsiad jego mocno ranny ma bogaty zegarek, skoro się w sali uciszyło, wyciągnął mu go zpod poduszki. Właściciel zegarka obudziwszy się raptem, zawołał przeraźliwie: „łapaj złodzieja!” Każdemu z nas ze snu przebudzonemu zdawało się, że wołają do broni. Dalej więc uciekać. Sztukanie po korytarzach na kulach, lub szcudłach chodzących, wrzask i jęki poprzewracanych na schodach, zagłuszały wszystko. Nie można było słyszeć czy warta strzela, ani wiedzieć co się poza lazaretem dzieje, gdy tymczasem do każdych drzwi się dobijano. Ja z Huppetem zatarasowaliśmy drzwi nasze, przygotowaliśmy szable, z mocnem przedsięwzięciem bronięcia się do ostatka. Aż nakoniec dzień zaczęło, i rzecz cała się wykryła. Smutna ta pomyłka drogo nas kosztowała; znaleziono bowiem umarłych, po korytarzach, schodach, po kloakach, pod strychem, nawet na dachu. Żyjących zaś trudno było nazad sprowadzić i do zdrowia przywrócić. Wielu téż korzystając z okoliczności, umykać z lazaretu zaczęło. W tych liczbie i ja byłem, a namówiony przez Trzebuchowskiego, umknąłem do pólku, gdzie mnie sztabowy nasz lekarz Rörych z niebezpieczeństwa wyprowadził, ale do zdrowia nie przywrócił.

Po bitwie pod Albuhera, korpus nasz cofnął się do miasta Llerena, gdzie spoczywają zwłoki kapitana Leszczyńskiego, Sabo i Mikołowskiego. Wnet po naszym tam przybyciu, nadciągnął korpus marszałka Marmonta, niby

nam w pomoc przysłany. Poczém posuwając się za Anglikami, dotarliśmy aż do fortecy Olinvenca w pobliżności Badajoz, na granicy Portugalskiej, leżącej. Tam półk nasz, utraciwszy w niewolę wziętego oficera Skarzynskiego, wrócił do Sewilli, z kąd pólkownik Konopka szczątki tego półku zaledwo z dwustu ludzi złożone, dniem i nocą poprowadził przez Grenadę do Baza, gdzie zwycięstwo nowe odniosłszy, powtórnie do Sewilli powrócił.

Przyszła téż nominacya pólkownikowi Konopce na generała. Szef Huppet na szczudłach do Francji powrócił, a szef Kostanecki dla słabości zdrowia, opuścił Hiszpanię. Przysłano zaś na dowódcę naszego półku, majora Dębińskiego. Ranni, wylęczeni wrócili do służby, i półk z czterechset koni złożony wyruszył ku Badajoz.

Trudno mi spamiętać nazwiska téj pozycyi, którą zajmowaliśmy ponad rzeką rozpołożeni, oko w oko patrząc sobie z Anglikami; było to wszakże po żniwach w roku 1811.

W całej okolicy wielki był niedostatek wszystkiego, furazu trzeba było szukać daleko. Co noc występowano do broni, a po rozstawieniu placówek i wysłaniu patrolów, konie w wiosce mieszczono; gdzie jak kto mógł, tak się żywił. Dnia pewnego, Angielska kawalerja spędziła nam placówkę, półk wystąpił do boju, i pomimo nieprzyjacielskiej przemagającej siły, wspierany armatnim ogniem, długo się jój opierał. Nakoniec spostrzegliśmy, iż armia nieprzyjacielska postępuje ku nam; lękając się zatem oskrzydlenia, dzień cały cofaliśmy się w największym porządku. Połączywszy się z piechotą, rozdano wojsku żywność, ale w tak małej ilości, iż na czterech

oficerów dostało się po bułce chleba, którą zjadłszy z chosnkiem i popiwszy wodą, przez całą noc nie przestaliśmy się cofać. Nad rankiem stanęliśmy w Berlanga, gdzie nasza piechota i artylerya mocną zajęły pozycję. Ztamtąd przed zaczęciem bitwy wyprawiono rannych i chorych do Kordowy, kędy i mnie mocno chorego wysłano. Gdy doktorowie uznali, iż dłużej potrzebuję kuracyi, nim będę mógł wrócić do frontowej służby, uzyskałem pozwolenie opuszczenia Hiszpanii, i udania się do Francji do miasta Sedan, gdzie był zakład naszego półku. Lecz na to trzeba było czekać okazji, czyli eskorty, do odprawienia furgonów, więźniów i skarbów zabranych, a ponieważ to się nieczęsto zdarzało, oczekiwanie moje musiało być długie.

Zaraz po bitwie pod Berlanga, bez żadnej korzyści stoczonej, przyniesiono do lazaretu w Kordowie Piotra Rogojskiego, na flankierach na wylot obok samego serca przestrzelonego. Lekarze obejrawszy ranę jego, osądzili ją być śmiertelną, jednak pomimo ich zdania, Rogojski się wygrzebał i dotąd żyje, zdrow i czerstwy.

Przyszedłszy cokolwiek do zdrowia, odkomenderowany zostałem do Jaën, do odebrania dla półku koni wrekwizycją zabranych. Wtém przyszedł rozkaz o znajmieniem, że półk dostaje za dowódcę pólkownika Stokowskiego z gwardyi Krasińskiego, i że ten z dwoma szwadronami, oczekuje na nas w mieście Vittoria, z kąd połączywszy się z całą legją Nadwiślańską, mamy się udać przez Francją do Polski. Na tę wiadomość o mało że kaźden z nas zradości nie oszalał. Ruszyliśmy do Kordowy gdzie zaledwo połączeni z półkiem, odebraliśmy przeciwny rozkaz, aby dniem i nocą pośpieszać w pomoc

oblężonej przez Anglików fortecy Badajoz. Dowiedzieliśmy się zarazem, że lord Wellesley przeważnie odniósł zwycięstwo nad marszałkiem Marmontem, i że fortecę Badajoz, którą marszałek Mortier po całorocznym oblężeniu zaledwo zdobył, Anglicy usiłują nam koniecznie odebrać. Westchnąwszy zatem głęboko, ruszyliśmy ku Badajoz. Przymaszerowawszy pod Albuhera, zastaliśmy nieprzyjaciela rozłożonego na tych samych pozycjach, które zajmował podczas bitwy tam ztoczonej. Równie ze świtem jużesmy się szykowali do boju, aż tu ani jednego Anglika nie masz; dalejże więc gonić za niemi. Przymaszerowawszy pod Badajoz, już tam nie znaleźliśmy Anglików, gdyż w wilią naszego przymarszu, od oblężenia odstąpili. Wróciwszy ztamtąd, rozłożyliśmy się garnizonami w Sewilli, w Jaën, Baza, w Grenadzie, Maladze i Kordowie. Ale zaledwieśmy dni kilka na miejscu odpoczęli, przychodzi znów rozkaz, ażeby dniem i nocą pośpieszać ku Badajoz, dokąd skorośmy znów przybyli, nie znaleźliśmy powtórnie Anglików. Widoczną zatem było rzeczą, iż nieprzyjaciel marszami i kontrmarszami chciał nas wyniszczyć. Gdy później poraz trzeci odebraliśmy rozkaz śpiesznego pochodu ku Badajoz, nimesmy zdążyli fortecy na pomoc, już ta szturmem zdobytą została. Zdobycie téj fortecy przez Anglików, było wielką dla nas klęską; tam bowiem prócz ogromnych magazynów żywności i potrzeb wojennych, utraciliśmy wielkiego kalibru armaty, umyślnie tam odléwane, a służyć mające do bombardowania Kadyxu. **W.D.**

Z obozu pod Ginnetą, wyprawiono konwoj do Francji, do którego przyłączony zostawszy, opuściłem półk 6 października 1812 roku. Smutno mi było po raz pier-

wszy z kolegami się rozstawać; myśl tylko powrotu do kraju była jedyną moją pociechą.

W głównej kwaterze taki był natłok chcących opuścić Hiszpanię, że rozkazano lekarzom każdego rewidować, stan słabości opisać, i tylko rzeczywiście niezdatnym do służby i kalékom, wydawać marszruty. Uzyskawszy taką, w towarzystwie kapitana od strzelców konnych, z bogatęj familii w Paryżu zamieszkałęj pochodzącego, ruszyliśmy w góry okrążające prowincyą Walencyą. Przeszedłszy owe góry, ujrzeliśmy się w kraju, któren śmiało ziemskim rajem nazwaćby można. Kraj piękny, urodzajny, wszędzie lud ochędoźnie ubrany, czerstwy i wesoły, wpośród drzew owocowych, około uprawy roli pracujący. Wszędzie domy porządne, w których wygodne znajdowaliśmy kwatery, przyjmowani uprzejmie, z wielką gościnnością, i do sytości karmieni (1). Nigdzie ani wzmianki o partyzantach, o rozbojach po drogach, o niebezpieczeństwie w podrózach. Wszędzie opieka rządu i sprawiedliwość, wszędzie téż imię marszałka Soult wspomianane ze czcią i uszanowaniem. Klimat umiarkowany, od północy zasłonięty górami, od południa Śroziemném morzem oblany. Pomiędzy drzewami okrytemi doskonałemi owocami, Walencyanie sieją ryż, kukurydzę, i inne zboża. Skoro jedno zbiorą, natychmiast drugiem zasiéwają pola, do poléwania zaś pól lub ogrodów, mają w kanałach wodę, którą za pomocą słuz zatrzymują lub wypuszczają, stosownie do potrzeby.

Miasto stołeczne Walencyą znaleźliśmy schludne, domy w niem porządne i wygodne, ulice szerokie, kościoły

(1) W wielu miejscach w Hiszpanii, konie karmią tak nazwanemi świętojańskimi rożkami.

i gmachy publiczne wspaniałe, place obszerne, liczne sklepy napełnione bogatymi towarami, ruch mieszkańców wielki. Byłto właśnie dzień niedzielny; książę Dalmacyi otoczony licznym sztabem, i żona jego w towarzystwie pięknych kobiet, udali się do świątyni pańskiej na nabożeństwo. Duchowieństwo, władze miejskie, i lud zgromadzony, z radością witali marszałka, przed którym po nabożeństwie, wojsko składające miejscowy garnizon, przedefilowało na rynku przy odgłosie muzyki. W Walencji połączyłem się z Piotrem Rogojskim, a wyrobiwszy mu marszrutę, ruszyliśmy razem w dalszą drogę. Przebywszy Arragonię, dostaliśmy się do Saragossy, czyli raczej do rozwalin tego bohaterskiego miasta. W całym mieście nie było jednego domu, którenby nie nosił na sobie piętna wojny. Wokoło miasta ogrody wycięte lub spalone, ziemia leżąca odłogiem, a w środku niej Saragossa, jak pomnik wśród cmentarza z napisem: *wytrwałość i meztwo!*

Znaleźliśmy w Saragossie rodaka Suligowskiego, oficera od piechoty, któren ożeniwszy się z Hiszpanką, wziął dymisyą i tam pozostał. On nas zapoznał z rodziną żony, u której, uczęszczając podczas naszego pobytu w Saragossie, słyszałem oddawane przez mieszkańców pochwały talentom wojskowym marszałka Moncey; Sucheta z uwielbieniem wspominano, a generała Chłopickiego i pułkownika Klickiego, nazywano bohaterami. Stary ksiądz kanonik, stryj żony Suligowskiego, zapytał nas jednego razu: „Dlaczego Polacy tej samej religii co Hiszpanie, są jednak ich nieprzyjaciółmi? czyśmy kiedy wasz kraj naszli, wasze mienie zabrali, wasze znaczenie zniszczyli? Powiedzcie otwarcie, dlaczego się tak ślepo

za cudzą sprawę poświęćcie? Nie możecie się pomieścić wygodnie na waszej ziemi, szukacie u Francuzów chleba? to przyjdźcie do nas, i my wam chleba damy, a będziecie braćmi naszymi.” Trudna była odpowiedź na wyrazy prawdy wyrzeczone przez starca; westchnąłem głęboko, a westchnienie moje może i on zrozumiał! W Saragossie czekaliśmy aż się zbierze cały konwoj wysyłany do Francyi, któren skoro się sformował, ruszyliśmy w drogę. Ranni generałowie dowodzili plutonami, a oficerowie z których niektórzy tak byli słabi, że się do siodeł na koniach przywiązywać kazali, stanęli w szeregach; zresztą, kto jak mógł, tak się zabrał do tej niebezpiecznej przez góry Perpignanu przeprawy. Do eskorty mieliśmy oddział wojska. Sławny partyzant Mina, w tych górach że tak powiem panował, jemu płacono za karty bezpieczeństwa, a on konwoje jak mu się podobało, albo przepuszczał, albo do niewoli zabrał. Byliśmy przeto w jak największej obawie, ażeby się z partyzantami nie spotkać, bo chociaż w porządku maszerowaliśmy, w przypadku napadu, nie mogliśmy jak tylko słaby opór stawiać. Po trzech dniach naszego przez góry przemarszu, podczas którego koczowaliśmy pod gołym niebem, dnia czwartego stanęliśmy szczęśliwie na ziemi Francuzkiej.

Tu się dla mnie zakończyła kampania Hiszpańska; a lubo pułk mój w Hiszpanii jeszcze pozostał, opisywać czynów, których świadkiem nie byłem, nie powinienem i nie mogę. Dla téjże samej przyczyny przemilczęć muszę o wielu oficerach z naszego pułku, którzy rozsypani po różnych miejscach półwyspu, na chlubną wzmiankę w dziejach wojennych zasługiwaćby mogli. W tych liczbach pierwsze trzymają miejsca: Kazimiérz Tański, któ-

ren przy końcu kampanii Hiszpańskiej, dowodził nowoformowanym pólkiem 4tym piechoty legii Nadwiślańskiej, i Wojciech Dobiecki, któren przy pierwszym szturmie Saragossy, był w naszym pólku porucznikiem. Z miasta Francuzkiego Pau, dostawszy dla siebie i Rogojskiego dalszą marszrutę i zarazem adres towarzysza naszej podróży kapitana Francuza, ruszyliśmy przez Bordeaux do Paryża.

W porze jesiennój 1812 roku, odbywając podróż konno przez Francją, mocnośmy od dészczów ciągłych uciérpieli; sprzedawszy zatem na pół darmo nasze konie, wsiedliśmy do dylizansu i stanęliśmy szczęśliwie w Paryżu. Nasamprzód z adresem wręku poszedłem do naszego znajomego kapitana, który nas przyjąwszy uprzejmie, oprowadził po całym mieście. Z nim zwiędziliśmy pałace cesarskie, wszystkie teatra, ogród botaniczny, menażeryą, muzea i gabinety, place, ogrody, mosty na Sekwanie. Obejrawszy wszystko, udaliśmy się do gienerała intendenta, dla uporządkowania naszych papierów i zaległego żołdu. Gienerał intendent, staruszek, już wiedział o naszym dość długim pobycie w Paryżu; wylajawszy nas żeśmy tak dużo czasu bez pozwolenia w stolicy stracili, rozkazał nam udać się natychmiast do zakładu w Sedan, dodając, że jeżeli zaraz jego rozkazów nie dopełnimy, przez żandarmów każe nas przetransportować. Tego samego więc dnia zamówiwszy miejsca w dylizansie, ruszyliśmy do Sedan, gdzie nam żołd nasz zaległy wypłacić

miano. W Sedan, kędy zakłady całej legii Nadwiślańskiej konsystowały, zastaliśmy Huppeta, który zostawszy majorem, dowodził zakładem półku naszego. Zakładem półku 8go ułanów, dowodził pólkownik hrabia Tomasz Łubiński. Kapitanem ubiorczym całej piechoty był Pozarzecki, a naszym kwatermistrzem kapitan Belleville. Ten miał dwie córki; ze starszą, Estellą, dosyć przystojną, ożenił się nasz Huppet, lecz nieszczęśliwy w małżeńskim pożyciu, wnet się z nią rozwieść musiał. Zaległości żołdu naszego odebrał był kommissant Pizulaga, a nam go nie wypłacił, i pomimo późniejszych reklamacyj rządu królestwa Polskiego, święta ta należność przepadła.

Przy końcu stycznia 1813 roku, dostawszy rozkaz od ministra wojny, udania się czémprędzej do Poznania, dla odebrania rekrutów przeznaczonych do półku naszego, natychmiast puściłem się w drogę. W Lipsku zastałem główną kwaterę vice-króla Włoskiego. Wyrobiwszy sobie rozkaz udania się do komendy z naszego półku, będącej pod dowództwem pólkownika Stokowskiego, w korpusie kawaleryi generała Latour Maubourg, ruszyłem do Dessau. Tam przybywszy, przedstawiłem się generałowi, któren mnie sobie przypomniał i na adjutanta zatrzymał. Kupiłem też w Dessau piękną klacz Meklemburską. W ciągłym będąc ruchu, rozwoząc generała mego rozkazy po różnych stronach Niemiec, napotkałem na końcu oddział naszego półku znajdujący się pod rozkazami kapitana Rybaltowskiego; tam znalazłem porucznika Józefa Bogusławskiego i Luziniana, dawnych kolegów moich. Radość moja była wielką, a wróciwszy do generała Latour Maubourg, prosiłem go o pozwolenie połączenia się z komendą naszego półku. Zmarszczył się generał, ale gdym oświadczył, że szta-

bowej służby nigdy nie pojme, bom nawykł służyć w polu, a mając jednego tylko konia, nie wystarczę na ustawiczne posyłki; nakoniec, że mam zrujnowane zdrowie w skutek odniesionych ran w Hiszpanii, uwolnił mnie od siebie. Tym nierozważnym krokiem, utraciłem udział w nadgrodach przysłanych przez cesarza dla sztabu generała mojego. Przybywszy do komendy, znalazłem, że ta się składa zaledwie z 60 ludzi, i jest wcieloną do półku złożonego ze szczątków całej lekkiej kawaleryi Francuzkiej, czyli motłochu bez żadnej karności i porządku, pod dowództwem pólkownika du Cotlosquet. Drugiego dnia mojego przybycia, wypadła nam potyczka dosyć żwawa. Tam, kędy droga z Magdeburga się rozdziela, po lewej stronie stanęła lekka nasza kawalerya, dwa bataliony Włoskiej piechoty, 4ry działa. Piechota w czworobokach z artyleryą, zajęła pozycyę na polach błotnistych, rowami w różnych kierunkach poprzerynianych. Kawalerya rozstawiwszy mocne pikiety z oficerem od huzarów, w małej wiosce rozlokowała się na wypoczynek. Na drodze na prawo o małą ćwierć mili, stanęła kawalerya z baterią pozycyjną i piechotą. Z rana około 10tej godziny, na naszym prawém skrzydle odezwały się działa. Wystąpiliśmy czémprędzej i ujrzeli nasze placówki umykające i pomięszane z czarnymi huzarami Pruskiemi. Cofnęliśmy się za wieś i uszykowali w linii za rowem, ale Pruskie huzary poza wsią obiegłszy, i poblizkie wzgórze konną artyleryą zająwszy, już nas oskrzydlać zaczęli. Postawiono Bogusławskiego z plutonem na jedném miejscu, mnie na drugiem, rów zaś był szeroki i głęboki. Kiedy huzary za przybyciem więcej kawaleryi i artyleryi, zabięraли się do ataku, pólkownik nasz zakomenderował na piérwszy szwadron:

„formuj kolumnę ściśniętą”; i cofnąwszy się, odstąpił nasze działa i piechotę. Ale nieszczęsny ten obrót w oczach nieprzyjaciela wykonany, narobił hałasu i nieporządku w naszych szkach, z czego korzystając Pruska artylerya dała ognia, a kawalerya rzuciła się na mostek przeze mnie broniony. Wprawdzie ułani moi przywitali ją rześistym ogniem, ale niemogąc się oprzeć przemagającej sile, drapnęli z pola. Pędząc przez pola, od huzarów ścigani, w tę stronę zmierzałem, z której huk armatni słysząc się dawał i wnet dostałem się na wzgórek, gdzie znalazłem vice-króla Włoskiego z całym swoim sztabem. Tymczasem owe dwa bataliony Włoskiej piechoty o których wspomniałem, otoczone przez chmurę kawaleryi Pruskiej, pomimo nalegań aby broń złożyły, uformowały się w czworobok, i do samej nocy na pozycji dotrzymywały; wtedy dopiero mając generała na swoim czelu, nieustraszeni ani jednego żołnierza, ocalili nawet niejednego kawalerzystę, w liczbie których był nasz Rybaltowski, zwolna do obozu wrócili. Co się zaś tycze naszego półku, wtedy, gdy na mnie na mostku szarżowali huzarzy, pierzchnął z placu, a nie wiedząc dokąd ucieka, wpadł na półk nieprzyjacielskiej jazdy; ta sądząc, że to śmiała szarża, przed uciekającymi uciekła. To widząc Pruska piechota i artylerya, również cofać się zaczęły, gdy jednak w odwrocie swoim, przywitały nasz półk rześistym ogniem, nuż wtedy nasze przypadkowe zuchy uciekać każdego w swoją stronę. Półkownik wydobywszy się cały z tego popłochu, zaraportował vice-królowi Włoskiemu, iż winą tego nieszczęsnego wypadku są ułani Polacy, którzy kolumny jego nie umieli zasłonić. Nic nam jednak za to nie powiedziano, ka-

żden bowiem wiedział jak się rzecz miała. Po tej potyczce, cały nasz korpus pomaszzerował na Magdeburg.

Ostatnich dni kwietnia 1813 roku, półki nasze wzmienione zostały; poczem od rzeki Saali i miasta Mertzburga, rozpoczęliśmy nasze operacye militarne, postępując za nieprzyjacielem. Wtém pewnego dnia, gęste zdziały wystrzały oznajmiły nam, że Napoleon z posiłkami przybył. W wojsku radość była nadzwyczajna, a każdego z nas zapomniawszy co wycierpiał, już pewien był zwycięstwa a po niem tak pożądanego pokoju. Tego samego wieczora generał Jaquinot, dowodzący naszą brygadą, wysłał mnie we sto koni kawaleryi, dla otwarcia komunikacyi z główną armią, i dla odebrania od samego cesarza rozkazów dla naszego korpusu. Ruszyłem więc nocą, a niemając innego przewodnika, jak daleki blask ognisk obozowych, maszerując w cichości dróżyną, trafiłem na małą rzeczkę wpadającą do rzeki Saali. Dowiedziawszy się, iż rzeczona wieś jest obsadzona przez kozaków, a niewiedząc w jakiej są sile, niechcąc komendy mojej na niepewny los narażać, ile, że mi generał zapowiedział, abym się w żadne nie wdawał potyczki, odesłałem napowrót do obozu mój oddział, a sam z dwoma Francuzami puściłem się w dalszą drogę. Przybliżywszy się do innej wsi, równie osadzonej kozakami, przejechaliśmy koło nich, odpowiadając na: kto idzie? swój. Lecz na drodze stał mocny oddział, który dawszy ognia, rzucił się na nas. Zwróciwszy konie, i oganiając się jak mogliśmy pałaszami od nacierających, dostaliśmy się nakoniec na drugi brzeg rzeki. Wtém słyszemy mocny tentent koni, i nimesmy rozpoznać mogli kto się do nas zbliża, już byli przy nas, jużemy w nich Francuzów poznali. Byłto bowiem oddział ki-

rassyerów Francuzkich z oficerem, wysłany ku nam z rozkazem podobnym do tego który mi dano. Połączywszy się z kirassyerami, wróciliśmy do wsi. Placówka dała ognia, a ja porozumiawszy się z oficerem, uradziliśmy przerznąć się przez wieś na drugą stronę. Zakomenderowawszy zatem marsz! marsz! ruszyliśmy do wsi; wtém przebiegłszy przez nią, żadnego z naszych kirassyerów nie ujrzeliśmy już za sobą, prócz jednego draba, któren z koniem wpadł do rowu, z kąd go z wielką trudnością przyszło nam wydobyć. Niechcąc zatem błąkać się dalej po nieprzyjacielskich obozach, wróciłem do półku mojego, co téż ze swój strony oficer od kirassyerów uczynił. Pomimo, że nie dopełnił danych mi rozkazów, powitany zostałem uprzejmie przez mojego generała, który skoro się dowiedział, że komenda beze mnie wróciła, miał mnie za straconego.

Dnia drugiego maja 1813 roku, na polu bitwy pod Lützen, zginął marszałek Bessières, dowódca staréj gwardyi Napoleona. Koło południa cesarz przybył przed nasz korpus. Zsiadłszy z konia, długo patrzył w stronę, kędy ogień działowy trwał bez przerwy. Wszystkich nas oczy były zwrócone w tę samą stronę: uważaliśmy, że się huk armatni ku nam zbliżał; w téj samej chwili Napoleon rozesławszy adjutantów w różne strony, siadł na konia i rzucił się w największy ogień, a za nim ruszyła gwardya, za którą nasz korpus pomaszerował. Bitwa do późnej nocy trwała. Plac pobojowiska został przy nas, ale podobna wygrana dziwnie nam się wydała, bo ani zabranych chorągwi nie widzieliśmy, ani niewolników, wszędzie tylko trupy: nie tak bywało w Hiszpanii! Nazajutrz korpus nasz dostał rozkaz postępować za cofającym się nieprzyjacielem. Maszerując w awangar-

dzie, udało mi się uchwycić oficera Pruskiego, którego gdy przedstawiłem generałowi, ten mi rozkazał, po krótkiej rozmowie z jeńcem, stawić go przed samym cesarzem. Wziąwszy więc z sobą oficera, przeze mnie w niewolę wziętego, udałem się do głównej kwatery cesarskiej. Zsiadłszy z konia, zbliżyłem się śmiało do Napoleona, któren stojąc ponad rzeką Elbą, rozmawiał z vice-królem Włoskim. Spojrzawszy cesarz na mnie, rzekł: „*twój półk wraca z Hiszpanii?*” Gdym na te jego słowa, dotknął prawą ręką czapki, „*co mi powiesz?*” zapytał. „*Najjaśniejszy panie!*” odpowiedziałem, z rozkazu generała Jaquinot, przyprowadziłem waszój cesarskiej mości, jeńca, któren z obozu nieprzyjacielskiego ciekawe wiadomości przynosi.” Nuż tedy mój jeńiec opowiadać, to co wiedział lub nie wiedział, a ja słowa jego lichą francuzczyzną tłómaczyć. Marszałek dworu zawołał na adjutanta, aby mi przyszedł w pomoc, lecz cesarz kiwnąwszy ręką na znak, że nie potrzeba, dalej mojego tłómaczenia słuchał, i coraz się pytał: „*i cóż więcej?*” Czasami zażywał tabakę i przez lorynetkę mnie się przypatrywał, jak gdyby żądał abym go o coś prosił. Tymczasem tyraliery nieprzyjacielskie, stojący po drugiej stronie rzeki, zaczęli do nas strzelać. Napoleon odwróciwszy się, zawołał: „*artylerya gwardyi!*”, i prawie w mgnieniu oka, ziemia od huku dział zadrzęła. Marszałek téż Duroc zbliżył się do mnie i powiedział po cichu, że mogę już odejść, z czego korzystając, siadłem nakoniec i do obozu swojego powróciłem. Skorom zdał raport z czynności mojemu generałowi, zapytał z radością: „*i cóż ci dał cesarz?*” — „*Nic.*” — Jakto? czyś go o nic nie prosił?” — „*O nic,*” odpowiedziałem. — „*Toś osioł,*” zawołał w gniewie generał. Gdym mu jednak całą rzecz

wyłómaczył, ścisnął mnie za rękę, i oświadczył, że do-
brze zrobił, nieprosząc o nic cesarza.

Przymaszerowawszy do Drezna, musieliśmy rozerwa-
ną jedną arkadę murowanego mostu, drzewem naprawić,
a poniżej miasta postawić most na łyżwach. Półk nasz
maszerujący w awangardzie, co tylko zaczął przechodzić
po łyżwowym moście, ten się tak zatapiał, żeśmy prowa-
dząc konie w rękę, po kolana mieli wodę. Kazano nam
zatem cofnąć się, a skorośmy na brzegu stanęli, w kil-
ka minut wezbrana rzeka most zerwała. Trzeba było
wracać się, i przez most murowany przechodzić. Pod-
czas przechodu wojska, Napoleon stał przy przerwie
mostu, w najmniejsze wchodząc szczegóły. Prowa-
dzone rekwizyta półkowe i żywność, kazał wrzu-
cać do wody, furmanki do domów zwracał, kantynier-
ki, powozy, kobiety i powodowe oficerskie konie, byle
przez niefrontowego żołnierza prowadzone, kazał pu-
szczać, a żołnierzy do frontu zaganiał. Słowem, wszy-
stkich prawie łajał, i armię uwolnił od bagażów, cięż-
arów i juków. Z kolei prowadząc konia w rękę na cze-
le moich ułanów, nadszedłem, kiedy cesarz zobaczywszy,
że żołnierz od piechoty z bronią w rękę prowadzi powo-
dowego konia, zawołał: „porzucaj tego konia, i biegaj do
kompanii.” Świeży rekrut zapytał: „Jako, cesarzu, ja
mam puścić konia mego kapitana?” — „Puszczaj, odrzekł
cesarz.” — „A kto, mówił dalej, będzie nami dowodził,
skoro kapitan ranami okryty w tyle zostanie?” Napo-
leon machnął ręką, i żołnierza z koniem przepuścił.

Przeszedłszy przez most, stanąłem na boku, chcąc się
przypatrzeć przechodzącemu wojsku. Za lekką kawale-
ryą, szła bateria artylerii konnej Włoskiej, którą do-
wodził kapitan znany z waleczności swojej, ale tak czar-

ny, dzióbaty i obrośnięty, że wyglądał jak djabeł. Ten
stanąwszy przed cesarzem, podczas gdy jego bateria
maszerowała: „Najjaśniejszy panie, zawołał, daj mi krzyż,
bo na niego zasłużył.” — A jaki? zapytał cesarz. — Korony
Włoskiej, odpowiedział. — „Bertier, odezwał się Napole-
on, zapisz go do krzyża.” Tymczasem po artylerii przecho-
dziła piechota, a czarny kapitan ciągle stał przy cesarzu
i na niego patrzył. „Czego chcesz jeszcze?” zapytał cesarz.
„Chcę się tobie przypatrzeć, odpowiedział, bo ciebie bar-
dzo kocham.” Napoleon poklepał go po ramieniu, po-
czém uradowany kapitan, ruszył za swoją komendą.

Z Drezna poszliśmy do Bautzen, gdzie stoczona została
owa bitwa, sławna w dziejach wojennych. W wigilią bi-
twy pod Bautzen, korpus nasz stanął obozem pod mia-
stem. Gdym stał na placówce na drodze wiodącej pod sa-
mém okiem nieprzyjacielskim, nad zachodem słońca przy-
biegł adjutant cesarski, i dał rozkaz, ażeby jak najwię-
ksza cichość zachowana była. Wtém nadjechał sam
cesarz z wice-królem Włoskim. Gdy Napoleon zapytał
mnie: „co tu widać?” wskazałem na stanowiska nieprzy-
jacielskie i szanice silnie działami obsadzone. Cesarz
zsiadłszy z konia, oparł perspektywę na mojem ramieniu,
długo się przypatrywał pozycji nieprzyjacielskiej, po-
czém siadł na konia i kazał mi jechać przed sobą. Obje-
chawszy łańcuch porozstawianych sztyldwachów na stra-
conych posterunkach, wrócił na moje stanowisko, z ką-
d z oczekującym na siebie wice-królem Włoskim, do głów-
nej kwatery odjechał.

Nazajutrz mocna kanonada zapowiedziała rozpoczęcie
bitwy, która przez trzy dni trwała. Opisywać ją nie
jest moim zamiarem, a siły moje są za słabe do oddania
tak wielkiego przedmiotu. Stojąc w szeregach półku mo-

jego, to tylko wiem, co z punktu na którym stałem własnymi oczyma widziałem, a to com słyszał już się stało własnością dziejów. W kilka dni po bitwie pod Bautzen, w awangardzie stojąc pod lasem, na prawej stronie mieliśmy wioskę. Skoro linia cała flankierów posunęła się naprzód, chmara kozaków ruszyła ze wsi ku mnie. Komenda moja z samą ruchawką złożoną, natychmiast drapnęła, zostało mi się tylko kilkunastu ułanów z którymi otoczony zostałem. Po dość długiej utarczce, pchnięty dzidą pod prawą rękę w piersi, spadłem z konia, i już byłbym pewnie zabity, gdyby mi nie był przybył w pomoc kapral od huzarów Merzburgskich; ten z mojami ułanami odpędziwszy kozaków, podprowadził mi moją klacz Meklemburską, na którą siadłszy, z niebezpieczeństwem się wydobyłem. Rana też moja była bardzo lekka, gdyż ostrze od lancy uwięzło w srebrnym galonie od ładownicy.

Po bitwie pod Bautzen, cała nasza armia dążyła do Wrocławia. Korpus wice-króla Włoskiego trzymał nasze prawe skrzydło. Już byliśmy o jeden dzień pochydu od stolicy Szlązka, gdy nieprzyjaciel zrobiwszy raptem zmianę frontu przez lewo, znikł nam zupełnie z oczów. Wtém, na naszym prawym boku pokazały nam się wielkie masy wojsk, co nas przekonało, żeśmy oskrzydleni zostali. Spozrzeglwszy ten obrót generał Latour-Maubourg, zostawiwszy za sobą znaczny oddział kawaleryi, i osadziwszy wieś na prawym naszym skrzydle leżącą, piechotą i artyleryą, z resztą korpusu ruszył w dalszą drogę. Nazajutrz po dwóch śmiałych atakach, ruszyliśmy za korpusem. Maszerując w aryergardzie, spostrzegłem kilku wojskowych jadących ku mnie z trębaczem od strony naszej głównej kwatery; skorom ujrzał białą

chustkę powiewającą, wziąłem mojego trębacza, kilku ułanów, i posunąłem się ku nim; wnet też poznałem generałów Rossyjskiego i Pruskiego, których oficer od piechoty Francuzkiej, z głównej kwatery Napoleona, odprowadzał aż do ich obozu. Nazajutrz oznajmiono wojsku, iż zawieszenie broni zawarte zostało. Wkrótce przyszedł rozkaz, ażeby z komendą ułanów dążyć przez Drezno do miasta Frejburga, do naszego półku świeżo przybyłego z Hiszpanii. Połączywszy się z półkiem, przedstawiłem półkownikowi Tańskiemu całą moją komendę. Półkownik uradowany zapytał, czemu nie awansuje, dodając, że starsi oficerowie wiele mu dobrego o mnie mówili. Dnia następnego kazał mi przyjść do siebie z Rybałtowskim na obiad, po którym poprowadził nas do generała Jaquinot, z którym udaliśmy się do generała Pojolle, komenderującego korpusem kawaleryi. Przedstawionych lub nie przez dowódców moich korpuśnemu generałowi, zapytany przez niego zostałem: „jak dawno jesteś oficerem?” — „Cztery lata,” odpowiedziałem. — „Jakie robiłeś kampanie?” — „Pruską, Hiszpańską i terazniejszą.” — „Za co krzyż dostałeś?” — „Za batalię pod Albuhera.” — „Wiele razy ranny?” — „Cztery razy.” Generał ruszywszy ramionami: „to jest rzecz szczególna” zawołał, iż wasz półk okryty sławą, po tylu świetnych zwycięztwach, tyle niesprawiedliwości doznał! Długo jeszcze półkownik Tański rozmawiał z generałem, wyliczając mu wszystko co tylko półk ucierpiał, wiele pominięto nadgród, wiele zapomniano zasług. „Obaczmy co można będzie zrobić, przerwał półkownikowi generał, a tymczasem proszę rozkazem dziennym zawiadomić, że ten pan, wskazując na mnie, postępuje na porucznika.” I tak więc, 19 czerwca 1813 roku, zostałem porucznikiem. W czasie zawiesz-

nia broni, książę Józef Poniatowski przyprowadził z Krakowa do głównej armii, korpus księstwa Warszawskiego. Długo spodziewany i żądany pokój gdy nie nastąpił, nanowo rozpoczęły się kroki nieprzyjacielskie. Pierwsza też nasza potyczka była pod miasteczkiem Marienberg na granicy Czeskiej z Austryakami. Poczem półk nasz przeznaczonym został do dywizyi generała Gérard w korpusie 14tym, którym dowodził marszałek St. Cyr. Cesarz Napoleon szukając, jak się zdaje, sposobności stoczenia walnej bitwy, wszelkie siły swoje koncentrował w okolicach Drezna. Kiedy korpus marszałka St. Cyr, przemaszerował do tego miasta, nasz półk postawiono nad Elbą pod murami, dla zasłony mostu. Tymczasem Drezno przemagającymi siłami szturmowane przez dni kilka, pomimo dzielnego oporu, nie wiem czyby się dłużej opierać było mogło, gdyby sam cesarz nie był z gwardyami pośpieszył, i nie stoczył walnej bitwy dnia 26 sierpnia.

Na parę dni przed bitwą, około południa, przybył z lewego skrzydła, przed front naszego półku, król Neapolitański Murat, z jednym tylko adjutantem. Ubrany jak rycerz średnich wieków, młody, hoży, przystojny, z długimi włosami spadającymi w pierścienie, na barczyste ramiona, w niebieskiej haftowanej złotem katance, z mieczem prostym zawieszonym na wstędze, z kapeluszem osłoniętym różnobarwnymi piórami, zapytał: „czy to jest półk ułanów Polskich?” potem otoczony przez oficerów, każdego uprzejmie powitał, a z półkownikiem Tańskim dosyć długo rozmawiał.

Był u nas w półku adjutantem majorem, kapitan Piotr Doliński, którego półkownik przeznaczył na dowódcę 3ej kompanii, w której ja się liczyłem. Gdy po odjeździe króla Murata, kazano nam zsiąść z koni, i kaźden wrócił do

obozu, częstowałem mojego nowego kapitana czém Bóg dał; wtém przed nami z ziemi, mysz się pokazała; ujrawszy ją Doliński zbladł i zawołał: „*widzisz tę mysz? ona mi śmierć przepowiada*”. Co usłyszawszy, mysz odstraszyłem, a dziurę z której wyszła nogą zdeptałem. Ale Doliński ciągle w to samo miejsce patrzył i obaczył, jak powtórnie mysz wychodzi i ku niemu idzie; zerwał się z miejsca i krzyknął: „*a co? jeszcze nie wierzysz, że ja dzisiaj zginę?*”. Po raz drugi dziurę nogą zatknąwszy, naląłem kapitanowi kielich wina, któren gdy spełniał, po raz trzeci mysz z dziury wylazła; w tój samej chwili odebraliśmy rozkaz wystąpienia, a skoro się półk zformował, pociągnęliśmy ku lewemu skrzydłu naszej armii. Tam zastaliśmy króla Murata, który rozkazał półkowi stanąć na linii i wysłać flankierów. Porucznik Zawadzki wyskoczył z plutonem, i ogień na całej linii się rozpoczął. Wtém przybiega do mnie Doliński i pyta, czy nie mam araku? Na moją odpowiedź że nie mam, ale wnet kantynierka z obozu przywiezie, odjechał. Po niej jakim czasie, przybiegł powtórnie; dałem mu butelkę z arakiem którą do połowy wypróżnił, co mnie mocno zadziwiło; wiedziałem bowiem, że trunków z wielkiem umiarkowaniem używał; odwrócił potem konia i odjeżdżając: „*bywaj zdrów*” zawołał. Te były jego ostatnie słowa. Artylerya nieprzyjacielska grać zaczęła, a półk nasz mając na swoim czele króla Murata, pociągnął na lewo. Przejeżdżając przez pole, ujraliśmy leżące ciało Piotra Dolińskiego, już obnażone; od kuli armatniej zabity, trzymał jeszcze pałasz w ręku. Król Neapolitański, przejeżdżając obok letniego pałacu króla Saskiego, rozkazał zostawić jeden szwadron w assekuracyi piechoty, której obrona tego pałacu poruczoną była. Pozostał zatem mój szwadron, którym dowodził książę Wo-

roniecki świeżo do półku z gwardyi przybyły. Stanęliśmy frontem pod laskiem, *Gross Garten* zwanym. Już piechota Francuzka silnie naciérana, rzezone stanowisko opuścić miała, gdy na czele mojego plutonu poszedłem do szarży. Przesadziwszy rów szeroki, gradem kul obsypany zostałem; tą nagłą jednak dywersją, atak nieprzyjacielski, na chwilę wstrzymałem. Wtém, podprowadzona bateria artyleryi, zaczęła mury gruchotać. W największym ogniu stojąc, dostałem kulą karabinową w brzuch, ale na szczęście kula uderzyła w zegarek złoty, roztrzaskała go na drobne kawałki, i lekką mi tylko ranę zrobiła: Pomimo tego, spadłszy z konia, zemdlałem. Przysłano nam też rozkaz opuszczenia téj pozycyi, do utrzymania niepodobnej. Zegarek ten który mi życie ocalił, zachowałem; mam go dotąd, i chowam na pamiątkę dla dzieci.

Nazajutrz po bitwie pod Dreznem, kiedy nasz korpus maszerował, widzieliśmy na najwyższym wzgórzu Napoleona siedzącego na miedzy, i na kolanie piszącego. Wnet potem spostrzegliśmy korpus generała Vandamme przyśpieszonym krokiem idący; opóźniwszy się o dwadzieścia cztery godzin, pośpieszał, a w dni kilka popadłszy w górach Czeskich pod Kulm w zasadzkę, zupełnie zniszczonym został. Vandamme, straciwszy armaty, bagaże, amunicją, sam w niewolę się dostał. Po batalii pod Dreznem, cesarz Napoleon pośpieszył na drugi brzeg Elby, w pomoc marszałkowi Macdonald, który ściśnięty trzema nieprzyjacielskimi korpusami, w krytycznym bardzo był położeniu. Korpus nasz został w okolicy Drezna, a mającym to miasto za oparcie, z całej armii było nam najlepiej. Gdy drudzy ustawicznymi deszczami dręczeni, przyciśnieni głodem, tak, że nieraz zdechłych koni

mięso, było dla nich specyalem, my walcząc przez dzień cały, wieczorem wróciliśmy do miasta, gdzie nas kolacya i dobra butelka wina czekała.

W jednej operacyi wojennej, nakazano na wszystkich punktach przeciw nieprzyjaciela, ażeby go zmusić do przyjęcia bitwy; lecz ten cofając się ciągle, tę zachowywał przezorność, iż główne siły swoje maskował. Mała rzeczka zakryta krzakami, oddzielała obie strony. Awangardę prowadził kapitan Jagniński, ze swoją kompanią i kompanią strzelców konnych Włoskich, pod jego dowództwem będącą. Gdy król Neapolitański rozkazał wzmocnić komendę flankierami, półkownik Tański kazał mi z moją kompanią ruszyć za niemi. Wybiegłszy na wzgórze, obaczyłem za wsią kozaków, ale prócz nich, nic więcej nie było widać. Gdyśmy jednak zbliżyli się do rzeczki, ukryci strzelcy piesi zaczęli dawać do nas ognia. Wtém porucznik Jan Stadnicki, porwawszy kompanią Włochów, ruszył przez wieś galopem. Ja też osądziwszy właściwem zrobić toż samo, już za nim iść miałem, kiedy kapitan Jagniński rozgniewany na Stadnickiego, że mu porwał bez jego wiedzy kompanią Włochów, zawołał na mnie: „nie każe się ruszać”; odpowiedziałem, że nie jestem pod jego rozkazami, i naprzód ruszyłem. Za wsią, widziałem, jak Stadnicki formuje kompanią i przez górę rusza; co gdy z drugiej strony wsi uczyniłem, po niejakim czasie przybiega do mnie Stadnicki z oficerami, donosząc, iż napadniętemu, przez przemagającą siłę otoczonemu, całą kompanię do niewoli zabrano, a sam z oficerami ledwo przedrzeć się zdołał.

Wtém rozkaz cofnięcia się odebrawszy, kapitan Jagniński aresztował mnie i Stadnickiego, i półkownikowi odmeldował. Stadnicki mało na to zważając, sprosił

wszystkich swoich kolegów, którym całe zdarzenie opowiadając, sutą nam ucztę sprawił. Gdy pólkownik odebrał rozkaz, aby zaufanego oficera z depezbami wysłał do załogi Königsteinu i Pirny z tém nadmienieniem, że jeżeli dobrze się sprawi z polecenia sobie danego, otrzyma jedną rangę wyższą, do téj misyi wyznaczony zostałem; lecz na oświadczenie Jagnińskiego, że jestem nieuległy starszym, i że pomimo tego, żem był aresztowany, poszedłem na ucztę do Stadnickiego, wysłano więc Skarzyńskiego na moje miejsce, który bez przeszkody do fortecy dojechał, i wróciwszy został kapitanem. Skarzyński zastał w Königstein, mocno rannego Józefa Bogusławskiego, i zagrożonego utratą prawej ręki, już podówczas kapitana w 8ym pólku szwoleżerów.

Czternasty korpus marszałka St. Cyr, po raz ostatni spędzony do Drezna, od miesiąca października 1813 roku, w oblężeniu był trzymany. Częste wycieczki zasilają z początku garnizon żywnością, ale po bitwie pod Lipskiem i Hanau, bardziej ściśniętym, dopiero wtedy brak wszystkiego uczuć nam się dawał. W jednej z wycieczek, gdyśmy z mocnym oddziałem ku Pirnie maszerowali, udało mi się z kompanią zabrać w niewolę batalion jeńców nieprzyjacielskich. Właśnie, gdym z moją kompanią korzystną szarżę wykonał, nadjechał generał Jacquinet, i uradowany z tego wypadku, z najchlubniejszymi pochwałami wspomniał o mnie marszałkowi; ten mianował mnie kapitanem, i do złotego krzyża obiecał cesarzowi przedstawić.

Marszałek St. Cyr kazał zrobić rewizyą żywności; i gdy się okazało, że zapasy nasze są nader szczupłe, uważając, że uporczywe oblężenie, mogłoby narazić stolicę króla Saskiego na zniszczenie, postanowił wyjść

z garnizonem z miasta, a maszerując ku wielkiej armii, połączyć się po drodze z załogami będącymi w Torgau, w Magdeburgu i Hamburgu. Wybraliśmy się przeto w marsz. Niedługo jednak trwała nasza wyprawa; przemagającymi siłami zmuszeni do odwrotu, wróciliśmy do Drezna, a gdyśmy już nie mogli dłużej się w tém mieście utrzymać, stanęła kapitulacya, mocą której, zostaliśmy wysłani do Węgier jako jeńcy wojenni.

Nasza niewola, trwająca przez pół roku na Węgrach, była prawdziwym dla nas wypoczynkiem po znojach. Regularnie byliśmy płatni, zupełnie swobodni, szanowani i poważani od władz cywilnych i wojskowych. We wsi Mooz, bogata rodzina Luzeńskich, uważała nas za powinowatych; tam zapraszani na obiady, wieczory, zabawy, używając polowania, przejażdżek, wszelkiego rodzaju gier, mieliśmy jak w kraju. Jedno trzęsienie ziemi, poszło nam wniesmak; i przyznam się, iż wolę iść na armaty, jak siedzieć w izbie, gdy pod nogami wszystko się chwieje. Wracając do kraju, w Prezburgu, składaliśmy palatynowi podziękowanie za gościnność jakiej doznaliśmy w Węgrzech; przyjęci przez niego uprzejmie, badani, czy nie mamy jakich osobistych żądań, z grzecznością pożegnani, wygodnemi furmankami odesłani zostaliśmy aż do domu.



160549